Cena zł 5.

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„GDYBY CHŁOPY BYŁY TAK BLISKO SIEBIE, JAK ROBOTNIKI, TO NIE WIEM, CO BY JUŻ BYŁO. DZISIAJ TRZEBA WYRÓWNAĆ TE WSZYSTKIE NIERÓWNOŚCI NA ŚWIECIE I WSZYSTKO UJĄĆ W PRAWO, BY CZŁOWIEK MÓGŁ ŻYĆ JAK CZŁOWIEK".

(Pamiętniki chłopów)

Rok I — Łódź, 21 października 1945 r. — Nr 8

WITOLD KULA

O PROGRAM I O JEGO WYKONANIE

NIEPOKOJĄCE ZAPÓŹNIENIE

Słyszałem niedawno, jak Jerzy Kornacki mówił: „Wielkim przemianom społecznym towarzyszył zawsze wielki ruch kulturalny. Wielkość przemian społecznych, jakie się u nas dokonały i dokonują — nie może ulegać wątpliwości. Ale gdzie jest wielki ruch kulturalny?

Zrobiło to na mnie wrażenie. Rzeczywiście. Fakt, zaobserwowany przez Kornackiego jest zjawiskiem niepokojącym w najwyższym stopniu. Przemiany dokonały się i dokonują. Reforma rolna, upaństwowienie kluczowych przemysłów, wyłączenie inicjatywy prywatnej z zakresu funkcji bankowych—to etapy, składające się na jedną wielką całość. Rezultatem tego jest, że już dziś, w cztery miesiące po zakończeniu wojny, faktycznie nie ma w Polsce klas uprzywilejowanych. Mogą być wprawdzie ludzie, posiadający w ręku znaczniejsze środki, gotówkę, zapasy towarowe — wszystko to jednak oparte jest w większym lub mniejszym stopniu o powojenną koniunkturę spekulacyjną, wszystko też zniknie z biegiem czasu wraz z normalizacją życia gospodarczego. Rzeczywistej bazy kapitałowej, która mogłaby być oparciem dla trwałego uprzywilejowania takiej czy innej klasy społecznej — dziś już nie ma.

Trudno w pełni ocenić, ogarnąć rozmiary i epokowość tego faktu. Rok miniony dzieli nasze dzieje na dwie połowy.

A obok tego świat kulturalny, w najlepszym razie „zawile" dyskutujący zagadnienia nieistniejącego stylu przyszłej literatury — w których to dyskusjach ku uciesze zgromadzonej publiczności bierze udział kilku wciąż tych samych zapaśników — w olbrzymiej zaś większości przeżywający wciąż jeszcze jedyność i niepowtarzalność grozy wojennej. Czy można się dziwić ludziom, ex professio powołanym do większej wrażliwości, że nie mogą otrząsnąć się z widoku obrazów potworności wojennych, gdy i nas, nie-pisarzy, wspomnienia tych obrazów budzą po nocach, gdy i nam przesłaniają karty opracowywanych aktualnych rękopisów, gdy i w nas wciąż jeszcze żywsze są i rzeczywistsze niż rzeczywistość?

I tu może leży przyczyna tego tak niepokojącego zjawiska, że świat kulturalny nie nadąża za wielkością przemian.

Przemiany te dokonują się w żywym ciele społeczeństwa — lecz jakby poza jego świadomością. Przyśpieszone wojną wyrosły one ze społeczno - gospodarczego organizmu narodu tak szybko, iż świat kulturalny nie zdążył narodzin tych przygotować. Niech dziś chociaż zdobędzie się na to, by je do świadomości narodowej zbliżyć, by je z nią związać.

Jest znamiennym, lecz bardzo smutnym faktem, że chociaż minęło już kilka tygodni od ukazania się w „Odrodzeniu" programowego artykułu Stefana Żółkiewskiego: „O pozytywny program kulturalny" — nie odezwały się dotąd żadne głosy czy to polemizujące, czy też uzupełniające. A nie oznacza to przecież, by powszechnie zgadzano się z tezami artykułu. Przecież w rozmowach prywatnych słyszałem mnóstwo ciekawych nieraz refleksji na jego temat. Lecz jakieś dziwne pookupacyjne zmęczenie psychiczne hamuje działalność pisarską, hamuje nawet rzetelne myślenie.

A tymczasem idzie o wielką rzecz: o to, by kultura nie pozostała w tyle za dokonywującymi się przemianami.

Trzeba wszechstronnie dyskutować na wielką skalę zakrojony pozytywny program kulturalny. Trzeba gruntownie przemyśleć środki jego realizacji. Podana przez Żółkiewskiego pierwsza próba pozytywnego programu kulturalnego wymaga przedyskutowania zarówno co do swoich podstaw konstrukcyjnych, jak i co do treści. Poza tym, jako próba obejmująca tylko pewne, dowolnie, w zależności od zainteresowań autora wybrane dziedziny humanistyki — wymaga licznych uzupełnień.

O CAŁOŚĆ PROGRAMU

Zacznijmy od owych podstaw konstrukcyjnych programu. Artykuł Żółkiewskiego, skonstruowany, jak sam autor się wyraża, jako swego rodzaju „katalog" autorów i kierunków, groziłby przy literalnym i bezkrytycznym jego zastosowaniu wpadnięciem w karykaturalny eklektyzm. Każe nam Żółkiewski do jednego autora po jedne (np. metodyczne), a do drugiego po inne (np. treściowe) sięgać elementy — ale przeraziłby się na pewno, gdybyśmy się pomylili i zaczerpnęli odwrotnie. — A więc np. każąc nam stanąć na płaszczyźnie autonomiczności i empiryczności humanistyki — odsyła nas następnie jako do szkoły metodologicznej do „Wienerkreisu". W pierwszej chwili myślimy, że jest w tym sprzeczność. Ale nie. Od „Wienerkreisu" wolno nam jedynie uczyć się rygorystyki poprawnego myślenia. A to, że teza o autonomiczności humanistyki jest najjaskrawszym przeciwieństwem carnapowskiego hasła „jedności nauki" — Żółkiewskiemu nie przeszkadza. Chcemy być dobrze zrozumiani. I nam imponuje surowy rygoryzm myślowy szkoły wiedeńskiej — i my też chcemy nowoczesnej metodologii empirycznej i autonomicznej humanistyki. Ale pomiędzy jednym a drugim jest sprzeczność, nad którą prześlizgnąć się nie można. Rzecz wymaga wielostronnej i gruntownej pracy obliczonej na długą metę, opartej o zbiorowy wysiłek. Praca nad tworzeniem programu zbiega się tu w jedno z wykonywaniem programu. — Pozytywny program kulturalny musi być całością organiczną, a nie łamigłówką różnorakich elementów.

Jako organiczna całość pozytywny program kulturalny musi obejmować całość humanistyki. Żółkiewski omawia tylko jej działy wybrane: krytykę literacką, filozofię i literaturę piękną, włączając w ramy tych trzech działów liczne luźne uwagi o innych, aż do „ogólnej wiedzy o kulturze" (?) włącznie. To oczywiście zadania nie wyczerpuje. Pozostają działy dalsze, oddzielne traktowanie wybranych rozdziałów jest niebezpieczne, gdyż wszystkie działy humanistyki oddziaływują na siebie nawzajem. Psychologia, historia, prawo, ekonomia, socjologia — by wymienić najważniejsze, to działy niemniej ważne, może nawet ważniejsze niż krytyka literacka; i w odnośnym rozdziale artykułu Żółkiewskiego dotkliwie daje się odczuć brak nacisku na socjologiczną interpretację literatury. W dodatku wymienione działy humanistyki znajdują się, u nas zwłaszcza, w mocno niepokojącym stanie. — Przyjrzyjmy się im pokrótce.

MIMO WOLI NEGATYWNIE

Nasza psychologia, mimo licznych pięknych osiągnięć, ma przecież stale tendencję do życia życiem samoistnym, w oderwaniu od kształtującego psychikę społeczeństwa i od innych działów wiedzy o kulturze. Tendencja ta kiedyś wyrażała się w traktowaniu psychiki człowieka jako bytu samoistnego i danego. Że żyje to dziś jeszcze — dość przypomnieć „Psychologię światopoglądu młodzieży" Szumana, Pietera i Weryńskiego (świetnie zrecenzowaną przez Chałasińskiego w „Przeglądzie Socjologicznym"), czy próbę „psychologistycznych" interpretacji literatury pięknej (Bychowskiego, Baleya, Szumana). A przecież wymienione prace wyszły spod pióra właśnie „humanizujących", żywo całokształtem kultury interesujących się autorów! Gdzie indziej tendencja do traktowania psychiki ludzkiej w oderwaniu od społecznego podłoża znajduje dla siebie nowocześniejszą formę w dążeniu do „odhumanizowania" psychologii i traktowania jej jako jednej z nauk przyrodniczych. Tu i tam niemałe tkwią niebezpieczeństwa, zwłaszcza, że takiej właśnie „odspołecznionej" psychologii uczymy na wyższych uczelniach i tak więc patrzą na ludzką psychikę nasi nauczyciele. — Skutkiem tego jest, że wciąż jeszcze dominuje u nas obraz społeczeństwa jako tworu zbiorowego, złożonego z jednostek o autonomicznych psychikach, wciąż jeszcze widzi się w psychice jednostki składnik, a nie wytwór życia zbiorowego.

Jeszcze gorzej rzecz się ma z historią. Historiografia polska, obiektywnie przyznać trzeba, w ciągu ostatnich trzech ćwartych wieku osiągnęła poziom pod względem technicznym bardzo wysoki. Mediewistyka polska, zwłaszcza dawniej, była terenem prawdziwych popisów kunsztu dziejopisarskiego. Później, mniej więcej od czasu wystąpienia Askenazego, również i nowożytna historiografia polska stanęła pod względem technicznym na poziomie europejskim. Ale...

Historiografia to nie tylko technika. Nie wystarcza technika odnajdywania i wszechstronnego krytykowania źródeł. Przy najprostszej nawet pracy niezbędna jest konstrukcja, konstrukcja w najskromniejszej choćby mierze wyjaśniająca przebieg wypadków, co w pewnym stopniu można by sprowadzić do wyjaśnienia pobudek ludzkiego postępowania.

I tu rozpoczyna się dramat. Przyznać trzeba, że na złe tory wprowadził polską historiografię nie kto inny, jak twórca jej: Lelewel. Nie jesteśmy kompetentni, by wyrokować, czy w dobrej czy w „propagandowej" wierze. — Faktem jednak pozostanie, iż on rozpoczął „naciąganie" faktów historycznych do określonych koncepcji politycznych. Stąd te tezy o pierwotnym słowiańskim gminowładztwie i tyle innych. I od tej pory trwa to zjawisko „naciągania" nieprzerwanie. Szkoła krakowska czy warszawska, „państwowotwórczość"

JULIAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

Fragment

. . . .
. . . .
W tych czasach autor tej gawędy,
Dla różnych swoich wad i przywar,
Których mu Stwórca nie poskąpił,
Salonów jeszcze nie dostąpił.
A w kuchni już nie wysiadywał.
Bo dawniej, w swem chłopięctwie lubem,
Gdy spleen dziecięcy go ogarniał,
Kuchnia mu była pierwszym klubem,
Jak potem knajpa i kawiarnia.
Następnym był już Pen Club. (Sorry!
Wciąż ten łódzki do tej pory)

„Od kuchni" było wejście życia:
Wrywało się to obce, rzadkie,
Nowiną nęcąc i przypadkiem...
Otworzyć było drzwi kuchenne
I wpadał wiatr, innością tchnący,
W szary nasz dzień, balansujący,
Pomiędzy biedą i dostatkiem.
Tak między „slotą" i „pogodą",
Niepewna czy się niebo przetrze,
Waha się igła w barometrze...
Nasza domowa w Łodzi mrocznej
„Pochmurno" miała w średniej rocznej.

Od drzwi kuchennych do frontowych
Tam i z powrotem wiodły drogi
Mieszczańskiej naszej socjologii —
I tak się węch klasowy budził,
Zdecydowany podział ludzi:
Od frontu „pan" przychodził, „pani",
Od kuchni — „człowiek" lub „kobieta",
Tutaj — „znajomi"; tam — nieznani,
Tu — my, tam — oni, jacyś, skądciś,
Którym zakazał ktoś przez front iść...

Od kuchni przychodzili biedni
Po darowany chleb powszedni,
W mróz sine ręce rozgrzewali
Nad czerwonymi fajerkami,
Chciwie gorącą zupę jedli —
Grochową, gęstą, z zacierkami.
Czasem, jak echo starej pieśni,
Muzyce maszyn nierówieśnej,
Pół-fantastyczny, jak z Nestroya,
Wędrowny zjawiał się rzemieślnik,
Ostatni świata obywatel,
Dumny, że jest obieżyświatem.
Tam zdun mogilny w piecu gmerał
I z białych kafli go odzierał
Do czerwonego mięsa cegieł,
Chrapał jak we śnie, rzęził, sapał,
Z trudem, jak piec, powietrze łapał...
Patrzyłem, jak się paprze, grzebie,
Rękoma grzęznąc w glinnej mazi,
A kiedy za głęboko właził,
Grabarzem był samego siebie.
Tam czarny handlarz chałatowy
Wzrokiem skupionym i surowym
Pod światło badał spodnie stare
A tak je wznosił przed oczyma
I rozpostarte w rękach trzymał,
Jak kantor, kiedy w nabożeństwo
Podnosi torę znad ołtarza...
Gdyby wypadły z rąk handlarza,
Zostałoby — błogosławieństwo.
Prało się w kuchni. Dzień parował,
Pienił się, syczał. W balii puchła
Mydlana burza kolorowa...
Bajeczne pieśni bulgotała
Mirażem opłynięta kuchnia.
Nad balią baśni, zgięta stała
Domowa nasza praczka stara,
Wróżka tych dni, Teodorowa.
O karbowaną blachę pralki
„Kolory" tarła, lub „kawałki"
Chabrową spłókiwała farbką...
Zmarszczona jak pieczone jabłko,
Chudziutka, krucha i maleńka,
Tak czule żyje we wspomnieniu,
Gdy mamie mówi po imieniu,
A na bieliznę — bieliźniarka.
Zwano ją u nas „Kociołeczek"
I zawsze dostawała w kuchni
„Tyciusienieczki naparsteczek"
Swej ulubionej „cytryniuchny".
— Musi być w raju dziś. I wierzę,
Że tam aniołom suknie pierze,
A czasem krochmalony duch jej
Odwiedza starą łódzką kuchnię.

„Drobiara" przychodziła. Wdowa
Po galganiarzu. Twarz jak ziemia.
Bogini nędzy i cierpienia,
Godna, by wszędzie, gdzie się zjawia,
Antyczny chór się w krąg ustawiał
I groźne rozpoczynał pienia.
Biegła przez miasto jakby pomór
Ją gnał. A gnał. Na dzieci czyhał.
Od jego tchnienia i pogromu
Pędziła za zarobkiem, dzika,
Zaciekła, trwogą oszalała
O „kindelach", o dzieci... Miała
Jedno przy piersi roztarganej,
Dwoje przy kiecce uszarganej,
A czworo czekających „w domu":
W kącie wysłanym zgniłą słomą.
Byłem tam z mamą. Zanosiłem
Tłumok starzyzny i posiłek.
Leżała chora na barłogu,
Zmierzwionym, stęchłym i skopanym,
Jak barłóg suki obłąkanej,
Niemiłej, widać, psiemu bogu.
Po kobiecemu zawstydzona,
Starała się uśmiechać do nas,
Zgarniała słomę koło siebie,
Lecz widać było, że myślami
Pędzi po piętrach z kurczętami,
Chleb zdobywając dla swych dzieci,
I marzy tylko o tym chlebie...
Kindelach zbiły się w gromadkę,
To na nas patrząc, to na matkę...
Byliśmy u niej po raz drugi,
Byliśmy u niej po raz trzeci,
Nie byliśmy na jej pogrzebie...

I kuchennymi przyszła drzwiami
Antosia, wieszczka ze wsi, saga,
Indyjska wieszczka spod Konina
(Gmina Golina). Bunt, odwaga,
Hardość z wesołych oczu tryska
Ach, te jej oczy gorejące
Jak hebanowe dwa ogniska!
Kościsto, żółtozębna, ciemna
(Takie są noce u Mongołów,
Takie cyganki u aniołów)
Przyszła mędrczyni niepiśmienna...

. . . .
. . . .

Askenazego, reakcyjność Bobrzyńskiego, naiwne drobnomieszczaństwo Sobieskiego itd. itd. Żonglerka faktami zastępuje relację o faktach. Tracimy z oczu rzetelną o nich wiedzę. Nie byle jaki historyk, bo Bobrzyński, przyznaje się dość wyraźnie, że nie zapuszczałby się w badania przeszłości, gdyby nie mogły one mu przynieść potwierdzenie jego koncepcji politycznych (np. „Dzieje Polski w zarysie", tom II, str. 311), a krytyka stanowego egoizmu sejmującej szlachty jest mu potrzebna po prostu po to, by i w ten również sposób protestować przeciwko... reformie rolnej z 1920 roku i progresji podatku gruntowego (ibid. str. 327). — W rezultacie, laik zniechęca się do historii w ogóle, nie dostrzegając w niej elementów istotnej nauki, a widząc jedynie rzucające się w oczy podobieństwo do poważniejszej publicystyki. W dodatku wszystko to dokonuje się jakoby w atmosferze dążenia do poznania „czystej prawdy" o przeszłości.

Nie mówimy o tym, by potępiać. Nazwiska, które wymieniliśmy, należą do najbardziej zasłużonych w naszej historiografii i wykonana przez tych ludzi praca techniczna będzie zawsze podstawą naszej wiedzy o przeszłości. — Wszyscy wiemy też, że tendencyjność interpretacji, którą tu piętnujemy, nie jest zjawiskiem specyficznym dla polskiej nauki (pamiętamy przecież przeciwieństwa: Thiere—Michelet, czy Sybel — Lehmann). Nie chcemy też być posądzeni o wiarę w możliwość istnienia historiografii „obiektywnej". Chcemy dwóch rzeczy: większego szacunku dla faktów, wysunięcia ich niejako na plan pierwszy — oraz racjonalistycznej, empirycznej, wyrażając się, jak chce Żółkiewski, językiem koła wiedeńskiego: intersubiektywnie sprawdzalnej metody ich interpretacji. Słyszałem niedawno jednego z najwybitniejszych historyków polskich, autora jednej z najbardziej cenionych naszych syntez dziejowych, wypowiadającego pogląd, iż katedra historii społeczno - gospodarczej znajdować się powinna na wydziale prawnym, a nie na humanistyce. Historykowi temu, jak widać, do jego konstrukcji syntetycznej nie były wyniki historii społeczno - gospodarczej potrzebne. Historia polityczna wyjaśniała się dla niego autonomicznie, sama przez się. I jeśli w takim stanie rzeczy chcielibyśmy odnośnie tej dziedziny kontynuować rozpoczętą przez Żółkiewskiego konstrukcję pozytywnego programu kulturalnego (bo mimo woli znów w negatywny wpadamy) — to napotkalibyśmy na trudności nie do przezwyciężenia. I kto wie, czy nie znaleźlibyśmy więcej czynników łączących z realizmem trzeźwych reakcjonistów w rodzaju Kalinki czy Bobrzyńskiego niż z historiografią demokratyczną. Rzecz wiąże się zresztą z zasadniczym i godnym specjalnego omówienia zagadnieniem ogólnym: gdzie dzisiejsza Polska ma szukać dla siebie punktu zaczepienia dla więzi tradycji, łączącej z przeszłością. Bodaj czy nie w pozytywizmie i oświeceniu raczej, niż u demokratycznych romantyków doby Wielkiej Emigracji. By decydować tu jednak — potrzebna przede wszystkim znów rzetelna wiedza o przeszłości, byśmy na Dąbrowskiego(niech mi Żółkiewski daruje) nie patrzyli oczyma pięknego zresztą berentowego „Nurtu" i nie wiązali z jakobinizmem tego, który najostrzej przez jakobinów polskich był zwalczany; byśmy zamiast romantycznej legendy, owiewającej nazwisko Mochnackiego, zobaczyli w nim „państwowotwórcę", dla którego sprawa społeczna jest sama przez się obojętnym środkiem, z czasem lekko rzuconym na rzecz dyktatury wojskowej Krukowieckiego czy monarchii Czartoryskiego.

Tak jak psychologia u nas ma skłonność do przedstawiania psychiki człowieka jako czegoś z zewnątrz danego, oderwanego od społeczeństwa, tak jak historiografia lubi nam przedstawiać dzieje polityczne jako wyjaśniające się same przez się, bez związku z podłożem społeczno - gospodarczym — tak samo prawoznawstwo najczęściej traktowane jest jako oderwane interpretowanie instytucji istniejących w nieznanym wymiarze i norm, mających treść jedynie jako składniki systemu. — Najbardziej myśląca część prawników polskich znalazła się pod względem teoretycznym pod sugertywnym wpływem Petrażyckiego, jego logiki treści i jego psychologizmu. Sumienne lecz mało efektowne, w oparciu o krytykę psychologizmu Petrażyckiego i solidną analizę semantyczną zbudowane ujęcia Znamierowskiego — nie znalazły dotąd u nas należytego zrozumienia, nie znęciły uczniów, pozostały obce ograniczającym się do oderwanego „instytucjonalizmu" i aktualnej kazuistyki rzeszom prawników.

Ekonomia zaś—nieraz była po prostu sprzedajna. Poważne istytucje naukowe, kryte autorytetami poważnych uczonych, wydawały w najpoważniejszą szatę przybrane dzieła, dowodzące, iż przyczyną bezrobocia są sztywne płace (to znaczy nieznaczne ograniczenia swobody obniżania ich przez przedsiębiorcę), że hamulcem rozwoju przemysłu są świadczenia socjalne, że przyczyną kryzysu jest zbyt niska konsumcja itd. W lepszym wypadku obserwowaliśmy u młodszych ekonomistów odbieganie problematyką od życia. Rzadkie wypadki naprawdę wolnych i naprawdę uczciwych badań naukowych w zakresie ekonomii, których olbrzymia większość wywieść się da z inicjatywy Ludwika Krzywickiego, podejmowane zwłaszcza w Instytucie Gospodarstwa Społecznego i Instytucie Spraw Społecznych — nie zdążyły jeszcze zdobyć sobie szerszego zrozumienia.

Tak prawoznawstwo jak i przede wszystkim ekonomia muszą stać się naukami humanistycznymi i wejść w całokształt nauk humanistycznych. Humanistyka musi się ośmielić zrobić tu krok w dół. Mówiliśmy już wyżej, że programu w zakresie humanistyki nie można traktować kawałkami. Nie można oddzielić prawoznawstwa od logiki, historii od ekonomii i odwrotnie, psychologii od socjologii. Stan jednych wpływa na drugie. Właśnie ciasne, szufladkowe uprawianie gałęzi i gałązek jest jedną z najważniejszych przyczyn obecnego stanu tych nauk, który w tej chwili pociąga piszącego wbrew jego woli do szkicowania jakże często negatywnego programu.

„ANTYLITERACKOŚĆ"

Praca nad konstrukcją pozytywnego programu — to jednocześnie praca nad jego wykonaniem, to samo przez się jego wykonywanie. Tych rzeczy także oddzielić się nie da. Do każdej z dziedzin trzeba się fachowo zabrać. — Właśnie fachowo.

A tymczasem...

Artykuł Żółkiewskiego pozostał dotąd bez echa. Wiele innych najbardziej zasadniczych dla dnia dzisiejszego spraw nie znajduje w ogóle fachowego omówienia.

Odbywa się np. doniosła praca nad reformą programów szkolnych. Pracę tę wykonują szczupłe (mimo że stosunkowo liczne) zespoły powołanych przez Ministerstwo Oświaty fachowców. Ale dokoła tej pracy powinno wrzeć. Dyskusje, nie mieszczące się na posiedzeniach komisyj, powinny przechodzić na łamy prasy. Społeczeństwo powinno świadomie przeżywać reformę programów nauczania polskiego czy historii. A tymczasem poza artykulikiem Jastruna — milczenie.

Smutniejszym jeszcze znacznie przykładem jest przebieg dyskusji w sprawie żydowskiej. Na zasadniczy artykuł Jastruna odpowiedział pod dwoma nazwiskami jakiś kryptoantysemita — i cisza. Próbował ożywić znów dyskusję Żółkiewski, śliczny felieton wydrukował Otwinowski, kilka głęboko przeżytych myśli wypowiedzieli Boguszewska i Szymanowski. Co do mnie przyznam się, że po całej tej dyskusji pozostał mi niesmak. Jak długo można przerzucać sobie z rąk do rąk czysto emocjonalnie ujęte i przekonywujące tylko dla przekonanych uwagi i refleksje? Tu trzeba pracy fachowej. Trzeba głosu socjologa, ekonomisty, historyka, psychologa, ba, psychiatry. Żółkiewski pisze, że sam Kott nie wystarczy. Powiem więcej :sami literaci nie wystarczą. Nie jest przypadkiem, że najmodniejszą formą periodyku jest u nas obecnie pismo literacko-społeczne. Na konieczność radykalnej przebudowy naszej struktury społeczno - gospodarczej literaci zareagowali najżywiej. Oni ją najpierw zrozumieli czy odczuli. To jest przyczyna, że dziś zabierają głos o wszystkim, że we wszystkich dziedzinach starają się wskazywać to, co zapomniane, nie dostrzeżone. Chcę być dobrze zrozumiany. Nie uważam, by „literackie" ujęcie jakiegoś tematu społecznego musiało być na skutek samej swej formy mniej trafne. Ale same takie ujęcia nie wystarczą. Potrzebny jest naukowy rygoryzm, wykluczająca nieporozumienia precyzja sformułowań, dyscyplina logiczna.

Zoologiczny polski antysemityzm musi być rzucony na tło patologicznej, uwstecznionej polskiej struktury gospodarczej i społecznej. Tak, jak jest dziś, w sedno utrafił najlepiej Lec w „Szpilkach", pisząc: „Antysemityzm to papierek lakmusowy. Zanurzmy go w kwasy naszej demokracji, a zobaczymy, jaka będzie reakcja"! Likwidacja antysemityzmu — to nie kwestia propagandy i efektowności użytych w prasowej dyskusji argumentów. Dyskutujący literaci-marksiści winni zrozumieć, iż w tej dziedzinie było by zaprzeczeniem marksizmu, gdyby pożądany rezultat można było osiągnąć propagandą. To kwestia walki na krótką metę, gdy meta dalsza, to radykalna przebudowa społeczno - gospodarcza.

WNIOSKI

Formułujemy wnioski.

1. Walczącym na wszystkich frontach o demokratyzację naszego życia literatom musi przyjść sukurs ze strony naukowców, specjalnie humanistów wszystkich dziedzin.

2. Trzeba znaleźć środki, które pozwoliłyby tym ludziom pokonać — jakże zrozumiałe u intelektualistów! — zmęczenie koszmarem okupacyjnym.

3. Najlepszym środkiem do tego jest ożywianie środowisk i wymiany myśli w środowiskach. Szczupłe i przed wojną, nikłe, a w dodatku nieraz i rozproszone dziś, grona fachowe muszą ożyć. Koło Naukoznawcze, Towarzystwo Filozoficzne, Polskie Towarzystwo Historyczne, Towarzystwo Ekonomistów i Statystyków Polskich, Polski Instytut Socjologiczny — te przede wszystkim muszą się odrodzić. Muszą się znaleźć środki nie tylko na mnożenie czasopism społeczno - literackich, lecz i na restytucję czasopism fachowych. „Przegląd Socjologiczny", który kiedyś umiał w artykułach Aleksandra Hertza, Zanda czy Szczepańskiego zapoznawać nas z obliczem nadchodzącej grozy hitlerowskiej; „Kwartalnik Historyczny", uparcie zwalczający niemieckie uroszczenia wobec Polski; jeszcze bardziej może „Przegląd Historyczny", od dawna wiele miejsca poświęcający dziejom nowoczesnym ze specjalnym uwzględnieniem dziejów polskiej myśli i pracy demokratycznej; „Roczniki dziejów społecznych i gospodarczych", przez osiem lat pracujące nad badaniem po macoszemu dawniej traktowanej dziedziny wiedzy; „Przegląd Filozoficzny", zacięcie walczący o precyzję i jasność myślenia, najsilniejsze bronie w walce z faszyzmem; „Ekonomista" i „Przegląd Statystyczny", które jeszcze przed wojną pracowały nad teorią i praktyką planowania gospodarczego itd. Pisma te muszą odżyć, często na nowej płaszczyźnie. Musi powstać magazyn ogólnonaukowy, w rodzaju świetnie przed wojną redagowanego przez prof. Wędkiewicza „Przeglądu Współczesnego" lub zwłaszcza „Głosu Współczesnego", którego kilka znakomitych zeszytów wydał kiedyś prof. Czarnowski, trzymający jedną rękę na pulsie życia, drugą zaś na pulsie nauki. Zadaniem tego pisma byłoby też między innymi tłumaczenie hermetycznego języka logistów, ekonomistów, nowoczesnych krytyków literatury, a często nawet historyków i psychologów — na język dostępny współczesnemu inteligentnemu Polakowi. Muszą wreszcie powstać (oddzielne dla poszczególnych działów wiedzy?) pisma popularno-naukowe, jako szczebel pośredni między warsztatem uczonego a społeczeństwem. Pisma te muszą powstać jako pisma i jako ośrodki twórczej myśli. Zespoły redakcyjne muszą być zespołami. Kontakt z odbiorcą musi być w miarę możności bezpośredni.

Dopiero wtedy zacznie się praca nad wielkim, pozytywnym programem kulturalnym. — Tworzenie tego programu i jego realizacja — to jedno.

Idzie o rzecz najważniejszą: o to, by świadomość kulturalna narodu nie pozostała w tyle za dokonywującymi się przemianami.

By kultura nie pozostała w tyle za życiem.

Witold Kula

JAN BACULEWSKI

UWAGI O SZKOŁACH ZAWODOWYCH

1. Społeczeństwo postępowe głosi hasło upowszechnienia pracy, postępowa zaś pedagogika, która wiąże szkołę z życiem społecznym i potrzebami gospodarczymi, wysuwa postulat upowszechnienia kształcenia zawodowego. Realizację tego postulatu, według powszechnych mniemań, rozpoczęliśmy już przed wojną, okres okupacji rzekomo proces ten miał rozwinąć, a obecnie rozumiejąc wagę kształcenia zawodowego wyrównywujemy przede wszystkim nasz stosunek do szkoły ogólnokształcącej, którą okupacja zlikwidowała, tolerując jedynie szkolnictwo zawodowe.

Jednakowoż dokładniejsza obserwacja faktów i analiza cyfr wykazuje, iż żaden z tych poglądów, czy to o realizacji powszechnego kształcenia zawodowego przed wojną, czy o jego rozwoju w okresie okupacji, czy wreszcie o potrzebie rozpowszechnienia kształcenia ogólnego, nie jest słuszny.

2. Reforma Pierackiego, wprowadzająca nowy ustrój szkolnictwa zawodowego przed wojną, wbrew istniejącym przekonaniom, nie sprzyjała idei powszechnego kształcenia zawodowego, choć przyczyniła się w sposób intensywny do spopularyzowania szkoły zawodowej. — Wprawdzie gimnazja, licea zawodowe stały się bardziej atrakcyjne, niż istniejące poprzednio szkoły zawodowe i techniczne, wszakże dla upowszechnienia kształcenia zawodowego brakowało nowemu ustrojowi zasadniczej podstawy: szerokiej bazy rekrutacyjnej wśród młodzieży wiejskiej. Wieś od przedwojennej szkoły zawodowej była odcięta niemal zupełnie. Przed 72 proc. dzieci ze szkoły powszechnej ustrój szkolny zamykał szkołę zawodową. Mogli bowiem dostać się do niej tylko ci, którzy ukończyli 6 klas szkoły powszechnej, a tych mieliśmy 28 procent. Poza tym w zakresie organizacji szkół zawodowych nigdy nie stanęliśmy na wysokości potrzeb gospodarczych, których zaspokojenie wymagało długoletniego powszechnego kształcenia zawodowego.

Wieś potrzebowała dopływu 100.000 nowych wykwalifikowanych rolników rocznie, gdy nasze szkoły rolnicze typu zasadniczego wypuszczały 323 absolwentów. Istniały jeszcze szkoły niższe, dokształcające, w których skupiało się ponad 12.000 młodzieży. Ale ze względu na rodzaj szkół, cyfry tej nie można zestawiać z liczbą młodzieży w szkołach zasadniczych, jeżeli chcemy uniknąć zmącenia obrazu.

Ogólny stan wykwalifikowanych pracowników w przemyśle i rzemiośle wynosił przed wojną ponad 850.000. Dopływ roczny nowych fachowców winien był wynosić ponad 45.000 — myśmy wypuszczali zaledwie 23.000 młodzieży wraz z absolwentami szkół dokształcających. Cyfra ta w rozbiciu na poszczególne potrzeby rzemiosła i techniki daje taki obraz: zapotrzebowanie na rzemieślników pokrywaliśmy w 50 proc., na techników—w 65 proc., na inżynierów — w 90 proc.

W dziale handlu, administracji i transportu potrzebowaliśmy rocznie dopływu 20.000 nowych wykwalifikowanych fachowców na poziomie średnim. Szkoły zaspokajały zaledwie w 50 proc. nasze potrzeby.

Podobnie było na stopniu wyższym.

W nikłym procencie szkoły pokrywały potrzeby w dziedzinie służby zdrowia, gospodarstwa, sztuki stosowanej itp. W szkołach dokształcających uczyło się 110.000 młodzieży, poza szkołą pozostawało ponad 200.000.

Powyższe zestawienia cyfrowe dowodzą, iż w warunkach przedwojennych dla zrealizowania powszechności kształcenia zawodowego brakło szkołom zawodowym ponad 300.000 młodzieży, niezbędnych dla życia społecznego i gospodarczego, a o których zapomniał ustrój i organizacja szkolnictwa zawodowego.

3. Szkoła zawodowa w okresie okupacji nie przyczyniła się do upowszechnienia dokształcenia zawodowego, choć była to jedyna szkoła średnia w tym czasie.

Uznając i czcząc walkę części nauczycielstwa, która bezduszności kształcenia i pustce wychowania przeciwstawiła program pełnowartościowej szkoły polskiej, trzeba stwierdzić, iż w większości wypadków szkoła zawodowa, okupacyjna, ogołocona z wszelkiej treści teoretyczno-poznawczej i kulturalnej, zaprzepaściła również i kształcenie zawodowe. Skrócony kurs nauki z 4 lat do 2, a nawet do 1 i pół w szkołach typu zasadniczego i 6-godzinny tydzień nauki w szkołach dokształcających, przyczynić się miał do masowej produkcji pomocników fachowych, niższego personelu fabrycznego, dla którego przy takim kształceniu stawała się niedostępna każda wykwalifikowana praca.

Nie można się zatem dziwić niechęci opinii do takiej szkoły. W konsekwencji widzieliśmy powszechną ucieczkę z jej murów natychmiast po zawaleniu się rządów okupacyjnych. Widzieliśmy tę wczesno - wolnościową ucieczkę ludów z tornistrami ze szkół krawieckich, rolniczych, mechanicznych, a nawet z liceów elektrycznych i melioracyjnych, by za cenę dodatkowych 2, 3 lat dopaść upragnionego źródła wiedzy w szkole ogólnokształcącej. Widzieliśmy to i nie było nikogo, kto by zawrócił młodzież z tej drogi. Zachęcali do niej nawet kuratorzy. Tak zakończyło się okupacyjne powszechne kształcenie zawodowe.

4. Gdy dzisiaj podejmujemy ponownie hasło upowszechnienia szkoły zawodowej musimy wpierw wskazać na nienormalny stan rzeczy, istniejący u nas od dawna na odcinku szkolnictwa średniego.

Przed wojną mieliśmy 763 szkoły ogólnokształcące i 510 szkół zawodowych. Młodzieży w szkołach pierwszych było 220.000, w drugich 91.000. Odpływ roczny absolwentów wynosił w szkołach ogólnokształcących 22.000, chociaż na uczelnie wyższe wstępowało z tych szkół tylko 11.000, szkoły zawodowe kończyło 17.000 młodzieży, gdy zapotrzebowanie sięgało 150.000. Wynikiem tej przewagi szkół ogólnokształcących było to, że w czasie pokoju na swoich granicach południowych i zachodnich otoczyliśmy się wykwalifikowanymi rzemieślnikami i technikami z Czech i Niemiec. Od strony Niemiec na skutki tego importu fachowców czekaliśmy stosunkowo niedługo .Gdy wybuchła wojna, po wkroczeniu Niemców, fabryki nasze podjęły natychmiast pracę pod kierownictwem dawno przez nas samych sprowadzonych niemieckich techników. Niektórzy z nich zajmowali się sabotażem, szpiegostwem i mordowaniem żołnierzy, a po zakończeniu działań wojennych, służbą w gestapo.

W czasie okupacji absolwenci naszych szkół ogólnokształcących ,jako masa zredukowanych urzędników, stanowili katastrofalne obciążenie społeczne, komórki życia podziemnego najwięcej wydawały na pomoc dla tzw. inteligencji. RGO tworzyło dla tych sfer kursy zawodowe, wypłacało zasiłki na otwieranie warsztatów. Plaga bezrobotnej inteligencji jako naganne zjawisko okupacyjne ustąpiła dopiero pod koniec okupacji. Jak wiemy nie dlatego głównie, że znalazła ona zatrudnienie w Generalnej Guberni.

Trzeba przypomnieć tym wszystkim, którzy usiłowali szukać ratunku dla tych „ogólniaków" bez zawodu, zaradności życiowej i jakiej kolwiek umiejętności przystosowawczej do zmienionych warunków życia, jak złorzeczyli bezcelowemu wychowaniu w szkole i jakie rzucali projekty, dla przyzwyczajenia społeczeństwa do pracy i umiejętności zawodowej. Żądali szkół zawodowych dla wszystkich, a nawet dzieci ze szkoły powszechnej zamierzali uczyć fachu.

(Ciąg dalszy na str. 8-ciej)

KAZIMIERZ WYKA

SŁUCHAJĄC „CYDA"

Powszechnie znaną cechę arcydzieł stanowi to, że oglądane na nowo wciąż odmiennie ukazują wyglądy. Mało kiedy tej prawdy doświadcza się z równą mocą, jak na widowisku, które Stary Teatr w Krakowie przyrządził z „Cyda". Niestety, nie znam na tyle literatury dotyczącej Corneille'a, by wiedzieć, czy nie została już poprzednio postawiona interpretacja problematyki moralnej „Cyda", która narzuca się przy obecnym słuchaniu tragedii. Zresztą nie to jest ważne. Ważne jest to, że dzisiaj, po przejściach wojny, kiedy czysta i podniosła atmosfera tragedii Corneille'a jest nam niesłychanie bliska, równocześnie tym ostrzej dostrzegamy w niej zgrzyty i skazy. Nie przez wielkiego tragika zawinione — przez tło obyczajowe, przez gatunek ludzki, którym musiał się posłużyć dla tragicznego wykładu idei.

Problematyka moralna „Cyda" jest z pozoru tak prosta, jak domagają się tego wielkie schematy tragiczne: *miłość i obowiązek*. Obowiązek rodzinny i miłość, która poczęła się wcześniej od sporu dwóch przywiązań domowych. „Cyd" to coś jak wstęp do „Romea i Julii"; Rodrygo i Szimena to kochankowie z Szekspira, z tą dla siebie przewagą, że udaje im się jeszcze podziałać na los.

Schemat obowiązku i miłości jest oczywisty tylko w swoim drugim członie. Miłość Rodryga i Szimeny po prostu *jest* i obywa się bez uzasadnień. Tych dwoje wygląda na godnych siebie — dowiedzie tego przebieg tragedii — a gdyby nawet było inaczej, któż jak nie Stendhal pisał: „przymiotów ukochanej osoby można sobie jedynie winszować jako szczęśliwego przypadku".

Po stronie miłości istnieje w tragedii Corneille'a tylko jedno niewątpliwe zamącenie: rola Infantki, tak wyolbrzymiona i napojona liryzmem przez Wyspiańskiego. Pseudoklasycy, jak wiadomo, tę rolę mocno atakowali w imię jedności akcji, a nasz Osiński konsekwentnie usunął ją z tragedii. Dzisiaj z baranią zaiste jednomyślnością wszyscy oburzają się na tę „tępotę", a nikt się nie zastanowi, czy przypadkiem nie było dużej słuszności w tym rygoryzmie. Nawiasem mówiąc, jest to jeden z niezliczonych przykładów, że na klasyków i pseudoklasyków ciągle patrzymy przez stronnicze szkiełko romantyków i jakoś nikogo nie uderzy, że w imię „fałszywych zasad normatywnych" klasycyzmu powstawały — autentyczne arcydzieła.

Otóż rola Infantki jest niewątpliwie zbędna. Kiedy „Cyd" grany jest jednym ciągiem, ta obcość kruszcu, z którego została utworzona Infantka, najsilniej uderza. Jeżeli nadto rozumieć „Cyda" tak, jak pojmować go musieli współcześni, jako spór obowiązku i miłości, postać Infantki zupełnie się w taki spór nie wszczepia. Jakiż jest jej obowiązek, w imię czego deptać ma w sobie miłość? Dopiero w interpretacji, jaką zaproponujemy — a tekst ją całkowicie popiera — postać Infantki i jej decyzja ostateczna stają się jasne. Lecz współcześni i pseudoklasycy nie mogli w ten sposób „Cyda" pojmować i stąd mieli słuszność, odrzucając Infantkę.

Tak więc biegun tragiczny miłości jest w „Cydzie", z wyjątkiem tej jednej skazy, jasny. A obowiązek? Przede wszystkim zważmy, że samo powiedzenie obowiązek jest czymś zupełnie formalnym. Obowiązek, lecz wobec czego? Jaka wartość rzuca Szimenę przeciw Rodrygowi? Rodrygo broni pohańbionego przez Don Gomeza *honoru ojca*. Ale tak jak Rodrygo postąpiłby w jego sytuacji każdy syn, bez względu na to, czy samo pojęcie honoru stawiać będzie w równie wysokiej cenie. Natomiast postępowanie Szimeny jest inne: ono to ukazuje, że cała problematyka moralna „Cyda" odpowiada pewnej specyficznej dialektyce honoru, że cały „Cyd" to — *tragedia honoru*.

Don Gomez i córka nie spotykają się ze sobą w tragedii. Jak mógł wyglądać stosunek wzajemny takiego ojca i córki, możemy snuć tylko przypuszczenia, o tyle pewniejsze, że popierają je w zupełności postępki i słowa Szimeny. Don Gomez to figura nieciekawa. Awanturnik, warchoł, na polskie charaktery mierząc, ktoś pomiędzy Diabłem - Stadnickim a cześnikiem z „Zemsty". Jest to postać historycznie zrozumiała dopiero na tle frondy, w otoczeniu junackiej i warcholskiej szlachty francuskiej, którą dopiero Ludwik XIV opanował i oszlifował. Pamiętając ówczesny stosunek rodziców do dzieci wolno sądzić, że córka dla Don Gomeza jest tylko towarem małżeńskim (rozmowa z Don Diego). A o tym zaś, by córka go kochała, w tragedii głucho. Gdy Szimena przybiega do króla o sprawiedliwość, w tej rozdzierającej chwili nie słyszymy ani słowa, które by wskazywało na podobną miłość. Słyszymy natomiast co inne: Szimena domaga się litości, ponieważ ojciec jej „w boju winien był zginąć, nie z ręki Rodryga". On, sławny wódz, ginie z ręki młodzika, a zatem *niżej swego honoru* i o ten honor upomina się córka.

Całe dalsze postępowanie Szimeny na to samo wskazuje. Stałym motywem jej uporu jest honor. Kiedy w scenie z Elwirą poddaje się wybuchowi namiętności, jakżeż znamiennie go kończy (ponieważ słuchałem Wyspiańskiego, posługuje się tylko jego tekstem):

Miłość to niegodziwa
na honor mój nastaje.
— — — — — —
Pomna Rodzica chwały,
jak ojciec mój — chcę słynąć.

Co ważniejsze, otoczenie dworskie rozumie i aprobuje tę wyniosłą dialektykę honoru. Nie dziwi się i nie gorszy — dowodzą tego choćby słowa Infantki, usiłującej nakłonić Szimenę do wybaczenia:

Dwór cały miał cię w cenie,
żeś w zemście swej namiętna,
by honor domu dźwigać,
w żądzy o każń Rodryga
stawała się natrętna.

Ten kult honoru jest więc wspólną własnością środowiska i stąd nie tylko konstrukcja moralna, ale cała konstrukcja akcji w „Cydzie" zbudowana jest na sprawie honoru i jego lichszej siostry — próżności. Jest jakby ilustracją maksymy La Rochefoucaulda, która narodziła się z tych samych przeżyć, z tego samego czasu i środowiska: „najgwałtowniejsze namiętności dają nam spocząć niekiedy, ale próżność miota nami ciągle". Próżność przystrojona w nietykalną maskę honoru.

Don Gomez znieważa Don Diega, ponieważ dotknięty został w swojej ambicji i honorze — nie został wychowawcą księcia, a Don Diego jeszcze go drażni w miejsce obolałe: „Kto czego nie otrzymał — widocznie wart nie był". Don Gomez wyruszy na pojedynek dopiero wówczas, gdy Rodrygo zadraśnie mu ambicję i honor rycerski: „Śmierci się boisz?" Nawet lęk Szimeny o życie ukochanego, Szimeny widzącej, że Rodrygo na pojedynek z Don Sanszo idzie z taką beznadziejnością i rozpaczą, że gotów zginąć, ten lęk przybiera maskę honoru. Szimena do honoru ukochanego usiłuje apelować, nie pomnąc, że zaznany wstrząs znieczulił już Rodryga na podobne argumenty: „Dziś mnie raczej za śmiercią — nie za laurem gonić" — woła zrozpaczony, a słyszy odpowiedź: „Odkądże to Rodrygo laury rzuca z wzgardą"?

Wreszcie postać Infantki tylko na tym nurcie moralnym, nie według biegunów obowiązku i miłości, staje się jasna i zrozumiała w tragedii. Infantka rzekomo w imię dobra ludu wyrzeka się Rodryga. Naprawdę jednak w inne imię: jej monolog przed sceną z Elwirą świadczy, że swojej pozycji, *szczebla swojego honoru*, jest pewna, ale szczebla honoru Rodryga, nawet wodza i zwycięzcy, jako szczebla równego sobie — nie.

W królewskiej rodzę się kolebie:
prawa mi każą cenić siebie.
Choć chcę Rodryga cenić wyżej,
przedsię go zawsze widzę niżej,
ledwo u stopni tego tronu,
na którym obok ojca stoję,
do hołdu wzwykła i pokłonu.

Ten tragiczny gobelin utkany jest więc cały z honoru, z jego masek, wykrętów, obraźliwości, nieprzystępnej dumy. Jedyny Cyd wyrywa się w pewnej chwili z tego omotania i dlatego tylko jego postać posiada inny wydźwięk moralny.

Konieczna tu jest pewna dygresja. Czym właściwie jest honor? Rzecz to zdumiewająca, jak mało się nad tym zastanawiano. A przecież w dialektyce moralnej człowieka honor należy do najbardziej niebezpiecznych i zwodniczych zjawisk. Wierność formalnemu osądowi przesłania w nim sprawy inne: przesłania pytania, czy pod daną formą zewnętrzną kryją się wartości prawdziwe. Honor posiada dwa oblicza: ku wnętrzu człowieka i ku światu. Rozpatrywany tak, jak go człowiek odczuwa, jest honor pewnym poczuciem godności osobistej. Ta godność nie opiera się jednak na przeświadczeniu, że naprawdę służymy czemuś, lecz na tym, że w imię *zachowania form jesteśmy szanowani*. Godność skierowana jest ku światu i z jego sądu czerpie swoje uzasadnienie.

Honor posiada podobne pretensje co czystość fizyczna: raz utracona, nie powraca. Tymczasem każdą cnotę człowiek zdradza i porzuca, w każdej tylko *bywa*, stale nie jest nigdy, choć do każdej powrócić może. Pretensje honoru są bardziej bezwzględne — nie ma powrotu dla tego, kto raz honor utracił. W pysznym dwuwierszu wyraził to Boileau:

L' honneur est comme une île escarpée
et sans bords;
On n'y peut plus rentrer, dès qu'on en est
dehors.

(Dmochowski przełożyłby to najpewniej: Honor jest jak wyspa stroma i bez wstępu. Kto raz ją utracił, nie ma tam dostępu).

Honor jest więc pragnieniem szacunku w imię przyjętych w danym klimacie psychologicznym, historycznym czy nawet zawodowym form, nakazujących szacunek. Dlatego to, im bardziej dane środowisko jest formalistyczne, im więcej wagi przydaje pozorom, tym donioślejszą rolę w jego ocenach posiada poczucie honoru. Stąd ojczyzną tego poczucia jest średniowiecze rycerskie, gdy tylko dbałość o pozory ratowała rycerzy - rabusiów przed pozostaniem w oczach drugich tym, czym byli naprawdę — rabusiami. Stąd wreszcie środowisko dworskie Corneille'a, specjalnie wysublimowane w grze honoru, tylko przez wierność temu poczuciu nadaje swym ludziom jakiś ślad blasku moralnego.

Jak bardzo ten blask w ocenie bezwzględnej świeci szychem, najlepiej to widać na motywach rządzących postępowaniem Don Diega wobec syna (zakończenie aktu III). Posłał go na pojedynek, ale *od odpowiedzialności moralnej za swój czyn z góry się uchyla*. „Hańbą dla mego rodu byłoby więzienie" powie i dlatego planuje sprzysiężenie w celu uwolnienia syna. Ładny stosunek honoru do czystej uczciwości ludzkiej! Mało tego: czym jest dla ojczulka najazd Maurów? Czy naprawdę chodzi mu o obronę ojczyzny? Jest tylko sposobnością do rehabilitacji honoru rodziny, przy czym los syna jest dla Don Diega skończenie obojętny. Bo czy syn zginie w walce z Maurami, czy zwycięży — bożyszcze honoru zostanie ocalone, a w tym rzecz. Ojciec powiada to expressis verbis:

Ty staniesz na ich czele, na śmierć pojrzysz
z bliska,
albo przydasz laur nowy do sławy nazwiska.
Padniesz na polu walki lub zwycięzcą
wrócisz.
Tak tym najlepiej zawiść i zazdrość
ukrócisz.

Oto do jakich zakamarków moralnych prowadzi wierność honorowi! Jakżeż blisko jesteśmy obłudnej i zimnej kazuistyki „Prowincjałek" — tym razem rycerskich, zamiast jezuickich.

Chcę być dobrze zrozumiany. Nie piszę tego, by dowieść, że „Cyd" przestaje być tragedią z powodu niewątpliwej lichoty moralnej tego, co jest w nim stroną obowiązku. Piszę w zamiarze całkiem przeciwnym: by wskazać, jak niesłychanie ludzka, jak pełna gry ambicji, próżności, drażliwości jest ta strona „Cyda". Właśnie tajemnicę tego arcydzieła stanowi, że mimo tylu moralnych znaków zapytania, którymi opatrujemy jego postać, „Cyd" nie przestaje działać swoją sublimacją tragiczną.

Ponad czysto formalną i zewnętrzną dialektyką honoru wznoszą się w tragedii tylko czyny i motywy samego Cyda. Zrazu i on w tę dialektykę jest beznadziejnie wplątany. Gdy staje przed nim konieczność pomsty, rzuca słowa, których sens z pozoru podobny jest powiedzeniu jego ojca, cytowanemu przed chwilą. Lecz Rodrygo do tych słów posiada prawo: pogrążony w rozpaczy, ma prawo za nic ważyć swoje życie. Ojciec tak lekko ważący życie syna w imię honoru jest po prostu formalistyczny i bezwzględny. „Czy zginę w walce czyli z żalu, krew moja będzie czysta" — woła Rodrygo i jemu wolno tak wołać, bo siebie posyła na śmierć, nie kogoś drugiego. I jeżeli tragiczna dialektyka honoru, z której aż do chwili wyruszenia na Maurów nie umie się wydobyć, działa tak przejmująco w jego ustach, to stąd, ponieważ jest on jedynym, który po jednej stronie kładzie honor, po drugiej życie swoje. Jedyny, dla którego ta paletyczna igraszka jest zarazem grą o życie. Dla wszystkich po nim jest grą o — postawy i ambicje. Nie pomszczona Szimena na pewno nie popełni samobójstwa. Najwyżej pójdzie do klasztoru.

Jest jednak w tragedii miejsce, kiedy Rodrygo wyzwala się z tej gry pozorów i urasta moralnie ponad całe otoczenie. Apoteoza, która nań przychodzi, jest po równi apoteozą za zwycięstwo nad wrogiem, jak i za motywy moralne tego zwycięstwa. Wstępne motywy Rodryga są doprawdy straceńcze:

nie przydatny ramieniem
ojczyźnie ni królowi,
chyba najdę śmierć nagłą
gdzieś wśród nędznych pustkowi.

Lecz kiedy nadchodzi chwila przed walką:

jakoweś czucia wyższe
zaczęły we mnie drgać.
czułem, że trzeba zdzierżyć,
że trzeba w sile stać
i tęgość ręki mierzyć
na miarę tej potrzeby.
— — — — — —
że tu nie można ginąć
z rozpaczy, z rozkochania,
bo jakieś prawo wyższe
rozpaczy tej przygania.

Cóż mówią te słowa? Oto Rodrygo postawiony zostaje nagle *w obliczu czynu o wartości obiektywnie moralnej*, który wypełnić musi bez względu na to, jakie przyczyny go sprowadziły. W tej sytuacji odpadają od Rodryga wszystkie dotychczasowe motywy, które dyktował mu honor i zawód osobisty — Rodrygo działa tak, jak działać nakazuje najlepsza służba wartości, służba zwycięstwu. Następuje oczyszczenie, w tym momencie cała dialektyka honoru jest nieistotna i niknie. Jawią się motywy inne, motywy służby i moralności obiektywnej i w tym sensie zarówno za motywy, jak za samo zwycięstwo spływa chwała na głowę Rodryga.

Tak wysłuchany i tak pojęty „Cyd" brzmi pełnią aktualności. Bo na formalną pseudomoralność honoru napatrzyliśmy się wiele. Pamiętamy, w czyim słowniku ideologicznym honor posiadał najpierwsze miejsce. *Blut und Ehre*. Tymczasem honor tyle tylko jest wart, ile wart jest człowiek, który honorem się osłania, ile godną tej osłony jest wartość utajona w pokrywie honoru. Ku tej prawdzie prowadzi dialektyka moralna „Cyda" i dlatego warto jej uważnie posłuchać.

UWAGI O SZKOŁACH ZAWODOWYCH

(Dokończenie ze str. 2-giej)

A dziś? Wszystkie drogi stają otworem do szkół ogólnokształcących. Młodzież płynie tam niepowstrzymaną falą. Nawet ci, co już dawno wytyczyli inny kierunek, dołączają się teraz do tego żywiołowego pędu. Wynik jest następujący (wg danych z czerwca br.):

W Łodzi mamy 35 szkół zawodowych i 69 ogólnokształcących. Młodzieży zawodowej 5.200, w szkole ogólnokształcącej 20.000. Dane te są dokładne. Dane w przybliżeniu z innych okręgów stwierdzają, że szkół zawodowych jest o 50 do 70 proc. mniej niż szkół ogólnokształcących, ogółem zaś młodzieży 5 do 10 razy mniej niż w szkołach ogólnokształcących. Od września b. r. przypływ młodzieży do szkół zawodowych zwiększył się, natomiast stosunek liczbowy szkół pozostał bez zmian.

Życie gospodarcze kraju wymaga od nas, byśmy poprzez szkoły zawodowe przygotowali 250.000 fachowców rocznie, gdy w tym roku liczba absolwentów tych szkół wynosi około 5.000. Potrzeby nasze sięgają ponad 2.500 szkół, obecny stan posiadania wynosi — około 200. Szkół dokształcających potrzeba nam około 2.000, w tym roku mieliśmy ich 76.

Gdy szukamy wytłumaczenia tego stanu rzeczy, nie możemy ograniczyć się do faktu uprzedzenia do szkoły zawodowej okupacyjnej braku planu władz szkolnych, czy nawet niechęci młodzieży do pracy i zawodu. Przyczyny zła tkwią głębiej i trzeba ich szukać w oporach i świadomości społecznej.

Jan Baculewski

LUDWIK KRZYWICKI

FRAGMENT Z PAMIĘTNIKÓW

(Z puścizny posmiertnej)

II

Stosunki moje bezpośrednie z „Narodną Wolą" rwą się w roku 1886, kiedy żandarmeria położyła swoją rękę na ostatnim numerze organu tej partii. Odżyły w roku 1905. W grudniu pojechałem z żoną do Petersburga. Były to chwile rzeczywistej wiosny społecznej. Petersburg marzył o wolnościach. Wszystko co żyło dotychczas w podziemiach wydobyło się na wierzch i nadawało stolicy państwa rosyjskiego nowe, gwarne a radosne oblicze. Znalazłem się na poufnym zebraniu starych narodowolców na ulicy Znamieńskiej. Było nas kilkanaście osób, mężczyzn i kobiet, prawie wyłącznie szlisselburczyków: Łopatin, Morozow, Noworusskij, innych nazwisk nie pamiętam. Z Polaków był szlisselburczyk Łukaszewicz i ja. Wchodziło się do wielkiego pokoju drzwiami wprost z ulicy — bodaj był to sklep z oknami na ulicę. Prócz stołu dużego, który obsiedliśmy, i krzeseł, zdaje się, nie było nic więcej. Chodziło o powołanie własnego organu, odrębnego od eserów. Pismo to w przybliżeniu formatu warszawskiego „Ogniwa" lub „Społeczeństwa", ukazało się po kilku dniach — tytułu nie pamiętam. Wyszły zaledwie dwa numery. Przynajmniej więcej pocztą nie otrzymałem. O głębokiej wierze, iż nastały już na całe lata obliczone dni wolności, świadczy zupełne poniechanie wszelkiej konspiracji: zaraz pod tytułem wydrukowano nazwiska nas wszystkich. Gdy rewolucja załamała się, oddałem posiadane numery na przechowanie do Biblioteki Kierbedziowej, ta z tych samych powodów ulokowała je w Bibliotece Krasińskich — tych numerów i wielu innych rzeczy nie zdołałem nie tylko odzyskać, ale nawet odnaleźć... Prócz Sternberga, jednego z redaktorów ostatniego numeru „Narodnej Woli" oraz paru podrzędnych członków i naturalnie Łukaszewicza, stosunki moje z narodowolcami urwały się całkowicie. A z wymienionymi łączyły mnie więzy serdecznej przyjaźni i dzieliły — częste spory. W Rosji wysunęły się naprzód inne siły — zorganizowane rzesze robotnicze, których znaczenia dziejowego narodowolcy sobie nie uświadomiali. I właśnie z tego powodu dochodziło do gorących sporów. Tak samo urwały się stosunki z eserami. Sternberg zaciągnął mnie podczas bytności mojej w Petersburgu do Czernowa, a właściwie do redakcji ich codziennego pisma. I znowu tytułu nie pamiętam. Obiecałem korespondencje z Warszawy. Wysłałem jedną. Na inne zbrakło mi czasu: w związku z powstaniem robotników moskiewskich i ich uśmierzeniem reakcja zaczęła się srożyć z całą wściekłością. Prasę ultra-opozycyjną zdławiono. Zresztą stosunki z eserami były bardzo luźnej natury — ich poglądy o odcieniu mocno ludowcowym, pełne mistycznej wiary w chłopa, były dla mnie małostrawne. O przełomie odbywającym się wśród młodego pokolenia terorystów rosyjskich, aż póki nie przybrali nazwy eserów (socjal-rewolucjonistów) miałem stale informacje od różnych osób, w tej liczbie od dawnych narodowolców, jak Natanson, którzy po odsiedzeniu Sybiru, opuszczali Rosję, ażeby za granicą pracować nad wskrzeszeniem pod inną nazwą programu terorystycznego. Ale bliższych stosunków nie nawiązywałem. A o ile istniały, inicjatywę nie ja dawałem — zwracano się do mnie. I znowu nie będę zatrzymywał się nad drobniejszymi epizodami. Od razu przejdę do zobrazowania stosunków swoich z Sawinkowym.

Sawinkow, tak samo jak Uthoff i Kalajew, należał do młodego pokolenia Rosjan, którzy wychowani, a niekiedy urodzeni w Polsce, stanąć mieli kiedyś w zastępach rewolucyjnych. Ale, gdy Uthoff był synem wyższego oficera żandarmerii, gdy Kalajew pochodził z prawomyślnej rodziny policyjnej, to Sawinkow wyszedł z otoczenia sądowników rosyjskich, jak Bardowski, Dobrowolski, Romańko-Romanowski, którzy owiani prądami opozycyjnymi, współczuli ruchowi rewolucyjnemu; na stanowiskach w Kongresówce w swoich wyrokach wyraźnie forytowali najmitów i z przekąsem odzywali się o polityce rusyfikacyjnej.

Ojciec, Wiktor Sawinkow (poświęciłem mu krótką wzmiankę w *„Ogniwie"* z roku 1905 z okazji jego śmierci), był oryginalnym sędzią: był sędzią pokoju, ale „wszechrosyjskim", jak o nim swego czasu odzywano się w Rosji.

Warto pomówić słów parę o tej jego godności.

Warszawa zaopatrywała różne dzielnice Rosji w przedmioty mody. Łódź zaś w pewne gatunki tkanin. Uwijało się w Warszawie mnóstwo przedstawicieli kupiectwa rosyjskiego, nie tylko z takich ognisk jak Moskwa, ale z różnych Woroneżów, Penz, Tuł, Tyflisów. W przerwach pomiędzy tranzakcjami handlowymi wszystko to hulało i na zakończenie uczt tłukło lustra i naczynia w restauracjach i lokalach wesołych dam. Niejeden z nich przekroczył tymi wydatkami posiadane w pugilaresie kwoty — wydawał wtedy weksle jako należność za swoje bijatyki. Często i za towary zakupione w większej ilości płacił nie gotówką, lecz wekslami. Świstków tych obiegało mnóstwo w Warszawie. I właśnie z ich wykupnem była rzecz trudna: wierzyciel, żeby otrzymać swoją należność, musiałby w mieście, gdzie stale mieszkał jego dłużnik, wyszukiwać adwokata, który by rzecz przeprowadził przez sądy i, mając wyrok, wyegzekwował pieniądze za pośrednictwem komornika. Sawinkow znalazł na to sposób: przyjmował taką sprawę do swego sądu i wysyłał do dłużnika w jakiejś Tule zawiadomienie, iż tego i tego dnia będzie rozpatrywane powództwo przeciwko niemu, a jeżeli nie stawi się, wyrok zapadnie zaocznie. Naturalnie, dłużnik nie przyjeżdżał, Sawinkow ferował wyrok. Wysyłano go w drodze urzędowej np. do Tuły do któregoś z miejscowych „sudiebnych pristawow" (komorników), a ten według zwyczaju rosyjskiego, nie wdając się w roztrząsania strony formalnej wyroku, egzekwował należność. Trwało to podobno całe lata, aż w końcu miarka się przebrała: któryś z oporniejszych dłużników (gdy komornik zjawił się u niego), zwrócił się do swego adwokata o poradę, a ten wykazał zainteresowanemu dłużnikowi całą fikcyjność wyroku. Co więcej wystosował do Sawinkowa coś w rodzaju protestu: do rąk pana Wiktora Sawinkowa, wszechrosyjskiego sędziego pokoju, ferującego swoje wyroki w sądzie pokoju... tutaj następował szczegółowy adres. I w tym proteście zaznaczał, że gdyby cała Rosja była okręgiem jedynego tylko sądu pokoju, którego sędzią jest Sawinkow, naówczas wyroki jego miałyby jakąś moc prawną, ale ponieważ jest mnóstwo takich okręgów i każdy z nich może jedynie wyrokować w sprawach, które się toczą w obrębie jego terytorium, przeto... Tak zakończyła się działalność Sawinkowa w charakterze wszechrosyjskiego sędziego pokoju. (A może trwała i nadal). Opowiadano, iż rzecz opłacała się bardzo Sawinkowowi, który zresztą pobierał wynagrodzenie od tego rodzaju spraw w postaci sowitej opłaty stemplowej. Cała historia wygląda osobliwie, a przecież Sawinkow poza tą słabostką był na wskroś uczciwym człowiekiem. W stosunku do Polaków niejednokrotnie umiał zamanifestować, iż nie idealizuje okupantów rosyjskich i pogardza ich postępowaniem. U boku jego pani Sawinkowa przedstawiała typ lotniejszy, nie dbający o pieniądze, choć bardzo lubiła je wydawać. Była urodziwą niewiastą. Nawet w wieku lat pięćdziesięciu blisko wyglądała na wiek o wiele młodszy, dzięki brakowi oznak starości na twarzy i w ruchach i niezmiernej żywości w rozmowie. Sądzę, że Borys Sawinkow swoje niebosiężne entuzjazmy, a po nich przepaściste chwile apatii, swoją niejako wietrzność i lekkomyślność w parze z bezczelną niemal odwagą, w końcu swój urok w obcowaniu z ludźmi odziedziczył po matce. Razu jednego przesiedziała w moim pokoju blisko dwie godziny. W ciągu tego czasu przesunął się przede mną, jak gdyby kalejdoskop różnych stanów a nawet jaźni duchowych. Rozpalała się własnym swoim rozumowaniem lub opowieścią: przekształcała się jej cała postawa, twarz przybierała wyraz namiętnie poważny, a od niej całej biił urok zapału. Niebawem rozmowa zahaczała o inne wątki. Odbywało się całkowite przeinaczenie jej osobowości: wyraz twarzy zmieniał się na gniewliwy, gesty były pełne pogardy, ale i w tym wypadku szedł od niej inny, lecz zawsze jakiś urok. Jak gdyby jaka utalentowana aktorka występowała przede mną w różnych rolach. Ale była to sztuka aktorska bezwiedna, samorzutna, szczera... I takim był jej syn, ten przynajmniej, który miał w ciągu lat wielu odgrywać taką wpływową rolę w ruchu terorystycznym rosyjskim, aby skończyć tak tragicznie, wyprowadzony w pole przez zręczniejszych od niego dyplomatów bolszewickich. Było bowiem dwóch braci Sawinkowych: jeden, spokojniejszy, żonaty był z córką znanego ludowca rosyjskiego, powieściopisarza Gleba Uspieńskiego. Widziałem go parę razy. Zesłany na północ, odebrał sobie życie. Drugiego, Borysa, widywałem rzadko. Niekiedy całe tygodnie spędzał w wagonach kolejowych przebywając olbrzymie przestrzenie. W ten sposób unikał meldunków, śledzenia itp. Podczas takich podróży wpadał na krótko do Warszawy i zaglądał niekiedy do mnie, żeby mnie zawiadomić, iż na księcia Oboleńskiego w Charkowie odbędzie się zamach lub że za tydzień dowiem się z gazet o zamachu w Wilnie na Wahla. Naturalnie, opowiadał dużo o stanie umysłów w Rosji, zawsze pełen wiary, iż jego przyjaciele terorem wywalczą w Rosji swobody konstytucyjne. Wizyty jego stawały się u mnie coraz rzadsze, aż w końcu urwały się, choć obecnie nie umiałbym powiedzieć kiedy. Niekiedy przychodziła matka, pani Sawinkowowa, przynosząc wiadomości od syna. Między innymi, przybiegła mnię ostrzec, abym nie dał się uwieść wrażeniom z powodu pochodu robotników petersburskich pod przewodem Gapona, iż rewolucja w Rosji jest bliska. W imieniu syna zaklinała, ażeby powstrzymać odruch ludu warszawskiego, który wezbrał potężną falą na wieść o pochodzie Gaponowskim, gdyż Rosja po paru dniach uspokoi się zupełnie i nie odezwie się współdziałaniem, ażeby nam pomóc. Strzały do robotników, idących z ufnością pod przewodem Gapona do cara, zmuszą robotników do rozstania się z wiarą w cara, utorują drogę ruchowi rewolucyjnemu. Pochód nie był ruchem rewolucyjnym, choć dzięki nietaktowi rządu i podnieceniu powszechnemu z powodu porażki w wojnie z Japończykami, przyspieszy wybuch niezadowolenia. Może na jesieni, może za rok, za dwa, lud rosyjski poruszy się, a wtedy ponad bagnetami wyciągnie dłonie do swego sprzymierzeńca w Polsce, ażeby po społu zwalczać carat. Ale tak jak rzeczy stoją, rząd, nie mając w Rosji noża przystawionego do gardła, zdławi wszelką rewolucję w Polsce, a kiedy wybuch nastąpi w Rosji, nie będzie potrzebował się liczyć z uspokojoną Polską. Przedstawiła stan rzeczy w Rosji w świetle rozpaczliwym, ale jak fakty dowiodły, prawdziwym. Istotnie, po manifestacji Gapona zaległa cisza w Rosji. Jedynie Warszawa, a częściowo i prowincja nasza, zamanifestowały swoją gotowość do wystąpienia: począł się okres parotygodniowych strajków, młodzież opuściła szkoły rosyjskie. I wszystko ucichło na parę miesięcy...

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

TRADYCJE MUSZĄ ŻYĆ

Przy najrozmaitszych — a dość częstych — okazjach słyszymy i czytamy, że „Kraków jest najkulturalniejszym miastem Polski"... Pogląd ten jest pewnikiem przede wszystkim dla mieszkańców Krakowa, którzy nie bez objektywnej słuszności szczycą się pięknymi tradycjami kulturalnymi i prastarą historią swego miasta.

Żyjemy dziś jednak w epoce, wymagającej szczególnych i nadzwyczajnych ekspensów z wszelkiego rodzaju zasobów społecznych. Na te wzmożone wielokrotnie wydatki nie wystarcza jedynie kapitał przeszłości, ani — tym bardziej — jego odsetki. Aby sprostać bieżącym potrzebom, trzeba ten kapitał powiększać ciągłymi wkładami bieżącymi — owocami nowego trudu i wysiłku. Nie tylko ekonomika, lecz i dziedzina kultury narodowej narzuca te same wymagania.

Tradycja kulturalna — miasta, rejonu, kraju — nie jest czymś, co dałoby się zamknąć bezkarnie w gablotach historii, jedynie na pokaz potomnym i ku ich zbudowaniu. Taka skostniała, skamieniała, obumarła tradycja staje się wkrótce zbędnym przeżytkiem i nieciekawym muzealnym eksponatem. Tradycja tylko wtedy spełni swą rolę pobudzającą i wychowawczą, jeśli z każdą nową wiosną dziejów rozkwita od nowa, jeśli z każdym zwrotem historii stroi się nowymi blaski. Tradycja — to nie zabytkowy obiekt, przechowywany dla celów odświętnych przez kustoszów i konserwatorów, lecz ciągle — poprzez wieki — odradzające się drzewo życia, które syci zieleń swej korony nieśmiertelnymi sokami zbiorowego dorobku.

Kraków z dumą nosi od dawna dostojny płaszcz swych kulturalnych tradycji. Ale płaszcz — choćby i gronostajowy — ma też swoją podszewkę. Tę właśnie podszewkę kulturalnej rangi Krakowa ukazali w swoim czasie Nowaczyński w „Nowych Atenach", Boy-Żeleński — w rozlicznych wspomnieniach i przyczynkach krakowskich. Ukazali z dużą dozą prawdy i szczyptą złośliwości. Uzupełniając te miarodajne świadectwa własnym doświadczeniem i własną obserwacją, można było dojść do wniosku, że Jan Lam znalazłby na gruncie krakowskim nieprzebrane skarby do swych satyrycznych studiów, że polskie „Nowe Ateny" przerobiłby może na „Wielki świat Capowic" w nowym, odpowiednio poszerzonym wydaniu.

Kraków jest dziś jednym z nielicznych ocalałych z pożogi wojennej większych miast Polski. Kraków ma już znowu swą czcigodną wszechnicę, Akademię Umiejętności, liczne instytucje naukowe i kulturalne, parę teatrów, wystawy i muzea. Ale te ogniska wiedzy i kultury — to są tylko wyższe kondygnacje całości, zamkniętej w murach Krakowa. Do niższych pięter nie docierają — jak się zdaje — światła i inspiracje ze szczytów, a jeśli nawet docierają, to w jakiś spaczony, karykaturalny sposób. Bo Kraków — to nie tylko akademie i muzea, Kraków — to również pani Dulska ze swą jakże liczną parantelą.

Temu to w dużej mierze należy zapewne przypisać i tym wytłumaczyć, że właśnie w „najkulturalniejszym mieście Polski" wydarzył się dnia 11 sierpnia br. pierwszy — i chcemy wierzyć: ostatni — w odrodzonej Polsce pogrom żydowski. I że w parę tygodni później instytucja tak świetna jak Akademia Umiejętności powzięła słynną — by nie powiedzieć skandaliczną — uchwałę o powołaniu do grona swych członków pięciu panów, skompromitowanych współpracą z hitleryzmem. Pięciu panów, którzy tak jak dr Młynarski spełniali określone zadania „zgodnie z wolą kanclerza Rzeszy".

Ale nie czas jeszcze w tym miejscu na pointę. Bo oto, gdy na posiedzeniu krakowskiej Rady Miejskiej znalazł się wniosek, protestujący przeciwko prowokacyjnej uchwale Akademii, wniosek ten uchwalony został nie — jak należało się spodziewać — przez aklamację, lecz tylko: **większością głosów.** A więc w demokratycznej Radzie Miejskiej „najkulturalniejszego miasta Polski" zasiadają — po prostu mówiąc — obrońcy i popleczni kollaboracjonistów... Fakt taki nie licuje z godnością nie tylko Krakowa, ale nawet pierwszej lepszej polskiej Pipidówki.

Płaszcz kulturalnego dostojeństwa Krakowa wymaga stanowczo przewietrzenia, odświeżenia i odkurzenia. Uczciwi eksperci powinni zbadać, czy do tradycyjnych wspaniałości nie zakradły się mole i inne szkodniki, które z pysznego okrycia mogą szybko pozostawić tylko strzępy. Szkodników wogóle nie brak w Polsce dzisiejszej. Skupiają się głównie tam, gdzie klimat i gleba najbardziej im odpowiadają. Być może, że w niedość często przewietrzanej atmosferze Krakowa upatrują dla się najkorzystniejsze warunki. Bo faktem jest, że do Krakowa właśnie przenoszą swe lary i penaty bardzo chętnie ci, którzy — klnąc na demokrację i „niemożliwe stosunki" — z komfortami i dostatkiem, a całkiem niedemokratycznie potrafią sobie urządzać życie. Wprawdzie Kraków dzisiejszy nie należy do takich miast polskich, o których pisał Krasicki: „Były trzy karczmy, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki"... tym niemniej jednak bywalcy „karczem" i wyznawcy haseł „bogoojczyźnianych" (chodzi to dość często w parze) nie nazwą z pewnością Krakowa — pustynią.

Było by śmiesznym kultywowaó w dobie dzisiejszej jakieś antagonizmy i animozje dzielnicowe. I daleki jestem od takiego zamiaru. Ale wydaje się, koniecznością, by „najkulturalniejsze miasto Polski" związało to jak najszybciej, ku pożytkowi ogółu, swe dawne piękne tradycje z wartkim prądem współczesności, by tchnęło w spadek wieków ducha nowych czasów, nowych potrzeb i nowych osiągnięć. Inaczej — to kulturalne dziedzictwo stanie się martwą pozycją, blaski tradycji zbledną i zgasną, przeczyć im będą gorszące fakty, aż w końcu Kraków jako „najkulturalniejsze miasto Polski" przejdzie do rzędu pojęć bez realnego pokrycia.

TADEUSZ BREZA

MURY JERYCHA

(Ciąg dalszy)

A kto o czymś podobnym słyszał. Ileż musiał nad tym kręcić głową ekscelencja. A może go uczciwie o wszystkim nie powiadomiono. W ciemności chodzić do grobów, przecież to gusła. Czuł w Medekszy bratnią duszę, więc się do niego zwrócił:

— Jak nie miało go tu czekać chrześcijańskie przyjęcie, pocóż go w ogóle kraj dał zruszać.

Ale książę nie słuchał, skupiony, zmarszczył się. Skazaniec — ważył w duchu — oto najsłuszniejsze słowo! Los go na ławę oskarżonych pchnął. Tak! Tylko czy my go będziemy sądzili? Któż się tak wyniósł nad historię, że sobie przyznał prawo karania? Czy człowiek co tak postanowił, pojął co uczynił? Łamiąc proregatywy pomazańca przyznane mu przez naród? — Zmieniając osobę królewską na osobę żadną, aby ją odsądzić od praw publicznego pogrzebu. — Któż ją tak śmiało potępił?

Z namaszczeniem powiedział:

— Kraj o niczym nie wie. Może trzeba było tę trumnę wieźć jego środkiem — myślał głośno — i słuchać: czy go będą przeklinać, czy uwielbią w nim dawną królewskość. I głosy by wskazały gdzie z tymi szczątkami iść.

Czerski się roześmiał. Dla niego rzecz właśnie dlatego nie była ważna, że uczestniczył w niej król. To wystarczało, żeby sprawę położyć. Rechotał serdecznie.

— Wozić go — wzruszał ramionami — może mu urządzić „Dziady". Na rozstajnych drogach wywołać ducha i niech go sądzi gromada. To już będzie całkiem teatr.

— Czysta komedia! — starosta przymknął do Czerskiego ze swoim oburzeniem.

Księcia to dotknęło do żywego.

— A nasze role tutaj — zapytał z gniewem. — Czy czasem nie z szopki? Wszystko to mi razem wygląda na psotę. I nie tyle to bezmyślność, co lekceważenie. Czy nie za wcześnie panowie dają ten znak wzgardy? Ja bym się bał.

— Ale czego? — zdenerwował się Jelski.

Z taką dumą, z taką bezwzględnością w pokątną kryptę pchnięto tę trumnę, że się lękam losu złośliwego, by nie zwrócił przeciw pysznym miecza, którym wojują.

Wiatr nawiał chmur na księżyc. Między słowa wciskał się szum drzew. Proboszcz odszukał duży, włochaty, widać własny pies, czegoś się napraszał. Wrócić do domu? Jelski zamilkł. Spór się jeszcze gotów zaostrzyć! Ten ojciec Krystyny taki nieostrożny. I wciąż te alegorie. I ten strach. Przed czym? Że zginiemy?

— Chciałbym się wyznać — nie wytrzymał, stary go jednak korcił — co to ma być za zwrot? Powtórzenie Stanisława Augusta?

Książę szepnął:

— Tak!

Jelski, który słowo poddał, zdumiał się jego przytwierdzeniem. Nie dowierzał:

— Powtórzenie — rzekł.

— Nie w historii! — odparł książę. — W was! Błędy, winy, braki, które w nim potępiacie, obyście się nigdy nie przekonali jakie są władcom łatwe. Być ślepym na bliskość w sobie do słabości, to za wiele pychy aby się tym nie zainteresował Bóg!

Na te słowa od razu odezwał się proboszcz:

— Obyś nigdy nie siedział na stolcu nagłego spadnienia — mówi psalmista.

— To już są skutki — Medeksza łagodnie odsunął sukurs księdza — ja tylko nawołuję, żeby się nie naśmiewać z cudzego upadku.

Czerskiemu podobał się żart.

— Przesąd — zawołał — przesąd! Silny może się śmiać.

Jelski zawyrokował.

— I tchórza nazwać tchórzem, miernotę miernotą, króla, który zatracił swój naród — zdrajcą.

Książę pochylił głowę. On znał się na historii, nie na rzeczywistości. Skoro są tacy pewni, zadumał się, może przez nich mówi jakiś głos. Bądź co bądź, komu los daje władzę, daje i światło. Czerski, który mało się odzywał, do triumfu się przyznał.

— No, tośmy pana przekonali — uznał spór za skończony — opadły mu ręce. Widzi pan, że nie da się Poniatowskiego podsadzić na Wawel.

Książę jeszcze się na chwilę osłaniał.

— To nie królom na Wawel potrzeba naszej ręki — rzekł — sami tam wchodzą, są u siebie. Gdyby chodziło o pomoc, ja bym też odmówił. Tylko, że nie szkodziłbym. Niech ma, co mu się z prawa należy. Wielka to śmiałość skazywać kogoś za to, że zbłądził, kiedy znów ledwo że ledwo rozeznać drogę.

Jelski się wyprostował, teraz chwila, aby wznieść się ponad rozmowę, ukazać, jakie to tajnie i widnokręgi dadzą się rozeznać z miejsca, gdzie go postawiło życie.

— A jednak są ludzie, którym ta widoczność wystarcza. Im jaśniej widzą, tym postać takiego Poniatowskiego rysuje się ciemniej. Dla Piłsudskiego to była bardzo ciemna postać. Może to on, wiedząc, że skoro umrze, czeka go Wawel, nie chciał mieć koło siebie Stanisława Augusta. Czy na taką decyzję Piłsudski by panu wystarczał?

Książę ledwo się nie przeżegnał.

— Więc on go odtrącił — krzyknął i potem żarliwie wyszeptał — Święć Panie nad jego duszą! — jak gdyby się o nim dowiedział, że po śmierci straszy.

Pies rzucał się, zaczął ujadać, biegł nie dając się odwołać. Starosta zawyrokował: — przyjechali. Ksiądz pospieszył naprzeciw. Ach, to wy! — Nie ma jeszcze wszystkich panów z miasta, — objaśniał. Tutejszy, broniąc ucieszonemu psu wyskoków z łapami, zbliżał się, w kurcie obszytej barankami, bardzo wysoki. Teraz i starosta go poznał.

— Co to znowu? Ruszajcie stąd! — krzyknął — nie wzywałem was. A potem do księdza rozżalonym tonem: — Chyba proboszcz dobrze wiesz, że nie pozwalam tutaj na nikogo, a sołtysa ksiądz do nas prowadzi.

Sołtys na sam czas słów się zatrzymał, odczekał po nich jeszcze sekundę, potem tak jak szedł tak szedł dalej. Znalazł się już przy panach. Książę zdziwiony zawołał:

— Sać, przecież to wy!

Teraz dopiero sołtys zruszył czapkę z głowy, pokłonił się, uścisnął rękę Medekszy.

Z dniem dzisiejszym kończymy drukowanie fragmentu powieści Tadeusza Brezy „Mury Jerycha". Powieść ta w najbliższym czasie ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

PAWEŁ HERTZ

Humanizm czyli próba pisarza

Wiele się mówi ostatnio o cywilizacji zachodniej i wschodniej, stosując mimo wszystko naiwne podziały geograficzne, słuszne może przy charakteryzowaniu roli Bizancjum i znaczenia Rzymu, lecz całkowicie zawodne, jeśli pragniemy wyznaczyć miejsce cywilizacji i kulturze zachodniej na mapie nowego świata. Oczywiście, tworzenie linii demarkacyjnych w kulturze, stawianie słupów granicznych, na których z jednej strony napisane jest Zachód a z drugiej Wschód, jest w gruncie rzeczy mocno podejrzane, pachnie Rosenbergiem i Spenglerem, mitotwórstwem kulturalnym itp. Przyznam się, że pod tym napisem Wschód—Zachód widzę źle zatarte gotyckie, czarne napisy: Osten — Westen. Jeśli nam dziś próbują udowadniać, że cywilizacja i kultura zachodnia jest ściśle związana z pojęciami geograficznymi, to musimy ostro zaprotestować: tak nie jest. Miniona epoka mieszczańskiej demokracji wybudowała łuk triumfalny kultury europejskiej. Budowę oparto o geograficzny Zachód, o wątpliwe fundamenty dekalogu mieszczańskiej obyczajowości, o przykazania politycznej demokracji. Oczywiście, że triumfalny łuk z biegiem lat musiał się załamać; fundamenty okazały się za słabe. Dziś jedni z pogardą, inni z pewnego rodzaju sentymentem oglądają ruiny tego łuku. Wśród strzaskanych ozdób odnaleźć można m. in. popiersia kilkudziesięciu znakomitych pisarzy francuskich współczesnych, kolaboracjonistów, deski memorialne ku czci Gerharda Hauptmana, Knuta Hamsuna itp.

Wojna, która rozbiła miasta, rozbiła i złudzenia. Dziś wiadomo, że nie można wyznaczyć granic „kulturze zachodniej" na niewielkim obszarze od wybrzeży Atlantyku do Łaby. „Kultura zachodnia", a przede wszystkim jej zasadniczy element: humanizm, może istnieć tylko w oparciu o pewne realia: postęp i sprawiedliwość społeczną. W innych warunkach humanizm staje się czczym słowem, igraszką pięknoduchów lub co gorsza instrumentem w ręku „monachijczyków", którzy również m. in. myśleli w kategoriach „obrony cywilizacji zachodniej".

Jeśli więc będziemy się starali wyznaczyć na mapie ogniska współczesnego humanizmu, to nie ograniczą się one wyłącznie do geograficznego pojęcia zachodu. Postulaty humanizmu, a zwłaszcza humanizmu w literaturze realizują się dziś zarówno w Paryżu, jak i w Moskwie. Realizują się najintensywniej właśnie tam, gdzie polityczny i zbrojny opór przeciwko faszyzmowi był najsilniejszy.

Leży przede mną tom szkiców literackich Pawła Antokolskiego, poety i essayisty radzieckiego [1]) Czytałem niedawno tom wierszy Aragona, świeżo wydany, czytałem szereg publikacji literackich francuskich, m. in. przedmowę do antologii poetów ruchu podziemnego Francji: „L'honneur des poètes", w której redakcja młodego zespołu pisze, wyliczając nazwiska wielkich poetów-humanistów: Whitmana, Hugo, Rimbauda, Majakowskiego, że: „wszyscy ci poeci któregoś dnia w swoim życiu zetknęli się z ogromną rzeczywistością i rzucili się w wir walki i działania". Książka Antokolskiego pod znamiennym tytułem „Ispitanje wremienem" (co znaczy: doświadczenie czasu) jest rodzajem rewizji, czy dany pisarz wytrzymuje próbę czasu, innymi słowy, czy jest to pisarz humanistyczny. Rzecz prosta, wymagania Antokolskiego nie zawsze pokrywają się z naszymi, nie zawsze nawet sądy jego podziela radziecka krytyka. Tak np. w swoim niezmiernie interesującym i oryginalnym studium o Borisie Pasternaku, Antokolskij wyróżnia jego wiersze z okresu wojny, które nie spotkały się z przychylną oceną np. w poważnym miesięczniku radzieckim „Znamja". Antokolskij uważa, że Pasternak, poeta dotąd raczej hermetyczny wskutek swego osobliwego stosunku do rzeczywistości, dopiero w wojennych wierszach przeszedł doświadczenia epoki. Antokolskij twierdzi, że Pasternak powinien od wierszy lirycznych, aluzyjnych, wskazujących drogę, powrócić do gatunku swoich dawnych poematów „Wysokaja boleźń". „Lejtnant Szmidt", „1905 god" — czyli od własnej koncepcji świata, realistycznej, lecz indywidualnej, do form obiektywnych, sprawdzalnych. Tego rodzaju postulaty pod adresem poezji Borisa Pasternaka, której cenność polega właśnie na aluzyjności, na odzwierciedlaniu świata w sposób bardzo indywidualny, a wynikający z symbolistycznego dziedzictwa, wydają się niesłuszne. Antokolskij żąda od Pasternaka, by przestał być Pasternakiem. Nie to jest jednak zasadnicze w tej książce, nawet nie szkice poświęcone Dierżawinowi, Bagrickiemu, Tichonowowi i in. W tym zbiorze essayów ważne jest to, że niemal na każdej stronie znajdujemy postulat humanizmu, podobnie jak na łamach naszych czy francuskich pism. W Związku Radzieckim ma ten postulat nieco inny odcień, wynikający z innej społeczno-politycznej struktury ZSRR.

W szkicu poświęconym „Mołodoj Gwardii", organizacji młodzieżowej, walczącej z Niemcami na okupowanych terenach radzieckich w Krasnodonie, Antokolskij tak mówi o młodych konspiratorach - patriotach: „Rośli, by stać się wolnymi, wesołymi, harmonijnie ukształtowanymi ludźmi, budowniczymi nowego społeczeństwa". Taka sama była młodzież Paryża i Belgradu, Pragi i polskich partyzanckich lasów. Antokolskij w swojej pracy analizuje twórczość pisarzy radzieckich, którzy mogą być przewodnikami tej właśnie młodzieży. Antokolskij zarzuca m. in. Proustowi, a z nim razem całej zachodnio-europejskiej powieści psychologicznej i jej twórcom, że: „ośmieliście ponoszą winę za upadek realny i klęskę polityczną krajów europejskich". „Kultura europejska zawdzięcza swój dzisiejszy zmierzch nie tylko bezpośrednim nosicielom swastyki, symbolu tego zmierzchu, lecz i tym leniwym i nieinteresującym się niczym, artystycznie skończonym i przesyconym inteligentom, „którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli".

Tym słowom Antokolskiego jak echu odpowiada znany krytyk francuski, André Billy, gdy stwierdza, że mimo swojej świetności i różnorodności literatura Francji ubiegłego dwudziestolecia straciła dziś swoje znaczenie. Ci, którzy czasu wojny próbowali czytać Gide'a, Valery'ego i t. p. wiedzą o tym najlepiej. Można było natomiast czytać „Wojnę i Pokój", „Pana Tadeusza", Homera. Było to tak, jakby otworzyć okno w przesyconym zapachami lekarstw pokoju ciężko chorego.

Książkę Antokolskiego warto zasygnalizować dla podkreślenia wspólnoty dążeń literatury we Francji, w ZSRR i u nas. Choć linie te często nie będą się ze sobą stykać, kierunek ich jest ten sam: humanizm.

[1]) Paweł Antokolskij: „Ispitanje wremieni", Sowietskij Pisatiel, 1945.

SPRAWA WYOBRAŹNI *)

Odrębność stylu, świadomość zamierzeń i dojrzałość artyzmu Zbigniewa Bieńkowskiego jest niespodzianką jedynie dla tych, którzy się bliżej nie zetknęli z poezją ostatnich lat przedwojennych. Już wtedy w wierszach Bieńkowskiego uderzał niebezpieczny dar szczęśliwego igrania z abstrakcją; pojęciom i wyrażeniom konkretnym odbierał poeta ich zwykłą treść, aby na ostatniej, najcieńszej granicy znaczenia oprzeć grę pojęć. Gra obrazów była elementarzem awangardowej techniki poetyckiej w Polsce. Gry pojęć nauczył się Bieńkowski od Francuzów. Było to rzemiosło trudne, ale tylko rzemiosło. Wartość rzemiosł poetyckich sprawdziło doświadczenie wojny. Mistrzowie francuscy Bieńkowskiego, jak widać z wierszy, które do nas doszły, celność techniki poetyckiej oddali w służbę zbiorowych nienawiści i pasji. Tafla z matowego szkła, przez którą Eluard filtrował obrazy świata, prysła. W wierszach francuskiego poety odnajdujemy dzisiaj nie sprawę wyobraźni, lecz dramat historyczny ulicy paryskiej.

Tamowane wzruszenie odczytam i z wierszy Bieńkowskiego. Ale nie chcę, aby wzruszenie tamowano. Tom Bieńkowskego jest dla mnie za zimny. Za mało pożywny. Dramat historyczny przeniesiony w sferę wyobraźni staje się nieprawdziwy. Są rzeczy, o których wolno mówić tylko pełnym głosem. Inaczej się je fałszuje. Musi się je fałszować. Kiedy dramat społeczny oczyszcza się z historii, pozostaje historia naturalna. Świat rozkłada się na pięć zmysłów człowieka, nie jest już złożony ani z ziemi, ani z nieba, ani z podłości, zdrady i bohaterstwa, ale z dotyku, który kształtuje przestrzeń, ze słuchu, który wzbogaca świat o dźwięki, ze wzroku, który przywraca mu barwę. Ludzka sprawa walki z przemocą przemienia się w obrazy narodzin i śmierci świata. Ziemia przestaje być ziemią ludzi walczących o wolność, przestaje być ludzką ziemią, staje się Ziemią przez duże Z, Ziemią - planetą.

Dramat rzeczywisty dzieje się w czasie, i posłuszny jest jego rygorom. Dramat wyobraźni staje się konstrukcją wspominania. Stąd retoryka wygnana ze słownictwa i składni zwycięża w kompozycji i budowie. Stąd barokowy układ wiersza. Porównajcie tylko wiersze: „W imię twoje" i „Rozmowa" z Marinim czy Morsztynem. Wyliczenia, antytezy i parafrazy stają się głównym środkiem poetyckim. Stąd zwycięstwo estetyzmu nad prawdą, delektacji intelektualnej nad wzruszeniem. Zwycięstwo środka nad celem.

Tom Bieńkowskiego jest za mało ludzki. I dlatego nie będę podziwiał piękności poetyckich, nie będę podziwiał doskonałości formy. Nie wzrusza mnie sprawa wyobraźni, wzrusza mnie ostatni wiersz tomu „Prośba". Oto jego zakończenie:

Na głód, pragnienie, na wojnę i pokój,
jestem bezradny, nie mam już łzy w oku
z mojego życia uschodzi słoma żytnia.

Nim wzrok za widok bez powrotu zajdzie,
ujrzyj mnie — abym widniał,

Oddaję rzeczom to co było rzeczy,
bo ich radości, moje były bóle.
Czy ty swą dłonią możesz mnie uleczyć,
bym był bez wzruszeń, gdy będę nieczuły?

Ziemię za życia zagrzebuję w niebie,
wiązankę wiatru składam na jej glebie,
wzruszam kamienie dla siebie na łoże.

Nim dotyk skrzepnie w jedną formę dłoni,
dotknij mnie — abym ożył.

Wiersz, w którym ludzkie wzruszenie przełamuje tresurę artysty, tresurę, choćby najbardziej mistrzowską; wiersz, którego ściszone zakończenia, nie ze sztuki poety powstały, ale z ludzkiego bólu; wiersz, w którym przemilczenia nie są fermatą muzyczną, ale płaczem, dławiącym głos.

Jan Kott

*) Zbigniew Bieńkowski: **Sprawa wyobraźni** (Związek Zawodowy Literatów Polskich, Kraków, 1945).

Flora Bieńkowska

WIOSNA 1944

sztuka w 3 aktach

Cena zł 12.

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"

ADAM WAŻYK

STARY DWOREK

sztuka w 3 aktach

Cena zł 12.

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"

ROZMAITOŚCI

MITOLODZY WSI

Rozważania teoretyczne na temat kultury wiejskiej i jej stosunku do kultury narodowej zajmują moc miejsca w tygodniku literacko-społecznym „Wieś". Redakcja dopuszcza wszelkie poglądy, widocznie postawiła sobie takie zadanie. W tej wolnej konkurencji poglądów na razie przeważają wypowiedzi broniące odrębności wiejskiej. Rozumne i konkretnie ujmujące każdą sprawę listy Stanisława Pietaka, przepojone rzeczywistą troską o rozwój piśmiennictwa na wsi, giną po prostu w zalewie ataków na jakąś urojoną garstkę „likwidatorów", przez których najczęściej rozumie się dzisiejszą lewicę literacką. Nazywa się ich inteligencją mieszczańską albo wprost kawiarnianą, nie ze względu na pochodzenie społeczne, ale raczej od miejsca domniemanego pobytu. Konsekwentniej było by nazywać ich „miastowymi", bo obrońcy odrębności wiejskiej nie ukrywają programowej niechęci do wszystkiego, co przecieknie na wieś przez rogatki. Ciągle odżywiają swoje myśli przeciwstawianiem miasta i wsi; nowymi, wymyślnymi słowami, ale po dawnemu jedni wmawiają w chłopów sielankę, inni delektują się krzepą. Sielankowy mit etyczny, zrozumiały u Norwida, po dziś dzień jeszcze nie wygasł w wyobraźni docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, J. Szczepkowskiego, który chciałby „zmienić pierwotną u nas pracę na roli, lecz pozostawić jej cenną wartość: etykę wsi". Nie ma na to rady: nieznajomość i niechęć poznania terenu może jeszcze długo utrzymywać takie mity inteligentów pasujących się na obrońców ludowości.

Te same urojenia w diagnozie i w receptach. Co artykuł, to wielka koncepcja kultury narodowej, która ma się rozwinąć z ludowej czyli wiejskiej, bo tego jakoby wymaga Demokracja. Co to znaczy konkretnie. Czy od pasiaków ma się zacząć nowe malarstwo, a od świątków — rzeźba? Kto ośmieli się wyrwać z takimi pytaniami, na tego spadnie odium opinii, że pogardza dorobkiem kulturalnym wsi. Wielkie bowiem koncepcje nie wymagają żadnej konfrontacji, wytwarza się je na chwałę czystej myśli.

Oderwanie teorii od praktyki, lansowanie sądów bez oglądania się na ich sens konkretny, to właśnie inteligencka choroba szerzy się wśród mitologów wsi. Ale wreszcie, u licha, to wszystko musi przecież coś znaczyć. Tyle przynajmniej, że dorobek kulturalny, jaki wieś zdołała stworzyć przez stulecia ucisku i analfabetyzmu, albo przejąć od innych warstw, i wszystko, na co się zdobędzie w okresie, kiedy masy chłopskie będą mogły odrabiać dystans dzielący je od warstw oświeconych, ma się stać miernikiem powszechnym. Poezja polska ma swój stary miernik. Choćby taki:

O białoskrzydła morska pławaczko,
Wychowanico Idy wysokiej
Łodzi bukowa...

Piękno tej frazy ma być wyklęte, bo nawiązuje do antycznej Grecji i pochodzi od poety szlacheckiego. Pocóż więc uczyć tego dzieci wiejskie? Chyba po to, aby im takie rzeczy czarnoleskie zohydzić. Teoretycy nowej kultury narodowej zaczynają myśleć od słów: „Skoro mamy pozbyć się kultury szlacheckiej..." I nie przychodzi im na myśl, że kultura narodowa nie jest pustą kartką, wydartą z ich notatnika, ale zawiłym, pełnym sprzeczności splotem, który łączy nas także z innymi krajami.

Są rzeczywiście likwidatorzy wśród ludzi piszących o kulturze. Likwidują cały dorobek warstw oświeconych słowami: szlachecki, importowany, mieszczański, inteligencki, a każdy z tych przymiotników brzmi jak wyrok śmierci. Stefan Lichański, perfidniejszy od innych mitologów wsi, w wielkim artykule „Rzeczywistość chłopska a literatura", ubranym w pozory dialektyki materialistycznej, tłumaczy, że przeświadczenie jakoby cywilizacja przemysłowa była tworem sztucznym w przeciwieństwie do cywilizacji rolniczo-rękodzielniczej, jest tylko ortodoksyjnym uprzedzeniem, że nie da się utrzymać odrębności obyczajowej i kulturalnej wsi, że bezkrytyczni wielbiciele wiejskiej tradycji robią wszystko co mogą, aby ze wsi polskiej zrobić rezerwat polskich Indian, co więcej, że „ludowe formy życia kulturalnego ukształtowały się w czas pańszczyzny, ucisku i niewoli", a potem okazuje się, że „skoro załamała się ostatecznie baza społeczna dawnej kultury szlacheckiej, to jedyną bazą dla budowania nowej, ogólnonarodowej kultury polskiej może się stać tylko polska wieś, jako posiadająca samoistną, odrębną tradycję kulturalną, a w żadnym wypadku inteligencja mieszczańska czy proletariat przemysłowy. Klasy te wrabiały się bowiem ze zdezindywidualizowanej (brawo, ob. Lichański!) rzeszy różnorodnych elementów zdeklasowanych, działających wyłącznie jako podporządkowana cudzej woli siła robocza. Pozbawione jakiejkolwiek tradycji kulturalnej, ukształtowały one swoje życie duchowe pod naciskiem..."

Przerywam w połowie zdania, ale to wszystko jedno. Widać już jasno, do czego zmierzają te wężowe skręty myśli, ten uczony mętlik ładowany dzisiaj do chłopskich głów z całym przedwojennym cynizmem żonglerów, którzy niuchali Marksa i Lenina. Przemyca się irracjonalną wiarę w szczególne powołanie wsi do twórczości kulturalnej, przeciwstawia się ją robotnikowi, inteligencji... Komu w to graj i na czyjej kułackiej fujarce?

Teoretycy, wypowiadający się na temat piśmiennictwa wiejskiego, tyle mówią o kulturze, a tak mało o tej prostej materii kultury — o języku. Bo cóż wreszcie oznacza ów rezerwat, jeśli nie kultywowanie gwary chłopskiej? Kiedy Ozga-Michalski pisze gwarą swoje gawędy świętokrzyskie, taka doraźna stylizacja jest zrozumiała koniecznością, inaczej ulotniłby się humor obyczajowy. Ale dlaczego powraca do gwary Paweł Kubisz? Widzieliśmy go na zjeździe w Krakowie, mówił tym samym językiem, co inni literaci. Chyba Kubisz nie będzie wymagał, żeby podręczniki szkolne dla wsi były pisane gwarą? Chyba nie sądzi, że wieś oświecona, zachowa tę swoją, tak rozczulającą inteligentów, odrębność? Chyba nie wymaga od chłopów dwujęzyczności? Nie ja mu stawiam te pytania, tylko praktyka społeczna. To prawda, że gwara utrzymywała się nie tylko z braku dostępu do języka warstw oświeconych, bywała i samoobroną klasową — przed szlachtą, przed obszarnikami. Przed kim ma dzisiaj bronić chłop tej swojej nieoświeconej tradycji, przed robotnikiem, inteligentem?

Inteligent Kubisz najchętniej wraca do gwary, kiedy pisze o wigorze, (wiersz „Akordy") albo o rebelii („Rebelia gorolі"). Nedza - Kubiniec pisze już wyraźnie: „Rzecz o temperamencie ludzi górskich". Także gwara, no i więcej tu ekspresyjnych znaków graficznych niż słów: więc wielokropki, z przodu i z tyłu, hyperwielokropki, myślniki wielokrotne, chciało by się powiedzieć — wielomyślniki...

Poezja ludowa, ta co pochodziła „spod pańszczyzny i ucisku" nigdy nie afiszowała się swoim temperamentem, popierała nim tylko swoje cele społeczne i ludzkie. W życiu bywały bunty chłopskie okrutne i krwawe. Szlachta, która nie chciała dojrzeć w tym gniewie wiekowej krzywdy, wołała uznać to za wybuch chamskiego temperamentu, żywiołu ciemnych instynktów. Można nienawidzieć, albo uwielbiać ten żywioł, ale zawsze będzie to stawka na irracjonalne motywy, wybieg zastępujący konkretną treść działania. Po odejściu ziemiaństwa znajdą się inne warstwy, które przejmą wiarę w czerpaną z ziemi krzepę chłopską i będą przeciwstawiały ją warstwom miejskim. I na tym samym zasadza się teoretyczne bajdurzenie o szczególnym powołaniu wsi do twórczości kulturalnej. Koło się zamyka: temperament i krzepa, instynkt i żywioł, gleba i podglebie. Po niemiecku, zdaje się, nazywa się to krócej: Blut und Boden. Ale nie — widocznie się zapędziłem — chciałem powiedzieć tylko kilka słów o tej tradycji poetyckiej, która lubi gwarę jako wyraz temperamentu, lubi też silną i nagą ekspresję, nie odczuwa wagi słów w poezji, nie raczy wiedzieć, że ta waga zależy od czynnika konstrukcyjnego. Młoda to tradycja, sięga zaledwie Wyspiańskiego, stworzyli ją inteligenci, ale nie chłopscy.

A postponowani przez mitologów wsi inteligenci, którzy stali się dzisiejszą lewicą, woleli i zawsze woleli inny stosunek do słowa w poezji, mickiewiczowski i czarnoleski.

Adam Ważyk

NOWE KSIĄŻKI FRANCUSKIE

Nowe książki. Paul Eluard wydał nakładem Les Editions de Minuit tom poezji pod tytułem „Au rendez-vous allemand" zawierający wiersze z okresu wojny, drukowane już częściowo w prasie podziemnej.

Louis Aragon wydał nowy tom wierszy zatytułowany „La Diane Française".

François Mauriac wydał u Flammariona książkę pod tytułem „Sainte Marguerite de Cortone".

André Gide ogłosił drukiem swój dziennik — „Pages de Journal" obejmujący okres od września 1939 roku do maja 1941.

Jean Cassou wydał w czasie okupacji w Les Editions de Minuit tom poezji zatytułowany „33 sonets composés au secret". Książka ukazała się pod pseudonimem Jean Noir, przedmowę do niej napisał François la Colère (Louis Aragon). Sonety zamieszczone w książce powstały w więzieniu, gdzie Cassou przebywał wiele miesięcy.

W przekładzie francuskim ukazała się nowa książka Aldous Huxleya pod tytułem „Le plus sot animal" (Najgłupsze zwierzę).

Ideologiczna donkiszoteria

Rycerski wielbiciel Dulcynei — Don Kichot, wsławił się na cały świat walką z wiatrakami Walka z wiatrakami stała się odtąd powiedzeniem potocznym.

Niewiele potrzeba odwagi by walczyć z malowanym smokiem. Niewiele potrzeba zdolności i umiejętności, by zwyciężyć wyimaginowanego przeciwnika ideologicznego. Podsuwa mu się największe nonsensy jako oryginalny pogląd, wykazuje ich bzdurność i uzyskuje tanim kosztem zwycięstwo.

W ten sposób walczyła i próbuje walczyć z marksizmem nasza rodzima reakcja.

Robiono to z całą powagą. W gazetach, w czasopismach, ba! nawet w pretendujących do naukowości podręcznikach uniwersyteckich. Wystarczy otworzyć podręczniki ekonomii żyjących i nieżyjących polskich profesorów, by zdziwić się, że po tylokrotnym, tak obszernym i dokumentnym „obalaniu" Marksa, trzeba go było zawsze obalać od początku.

„Obalano" z całą powagą jakiś dziwny marksizm, nie znany samym marksistom. Walczono z całą zajadłością z materializmem, z którym bez wahania walczyłby z niemniejszym zapałem każdy zwolennik dialektycznego materializmu.

Cała ta komedia nie jest bezinteresowna. Szło o to mianowicie, by szeroka publika uwierzyła, że ten skarykaturowany przez reakcję „marksizm" — to właśnie marksizm, że ten specjalnie ad usum reakcji spreparowany „materializm" jest rzeczywiście materializmem dialektycznym.

W okresie panowania sanacji, gdy obóz demokratyczny miał zakneblowane usta, ta nikczemna gra w ciuciubabkę przynosiła poważne zyski. To niebywałe pomieszanie pojęć w głowach nawet naszej inteligencji, ta wprost podziwu godna ignorancja podstawowych zagadnień ideologicznych, oto owoce panowania ciemnoty, jej wpływu na umysłowość polską.

Dlaczego tak było? Odpowiedź prosta. Bo dziedzina światopoglądowa nie jest na przykład numizmatyką. Bo wywiera ona wpływ na walkę polityczną, na walkę o władzę.

I dlatego właśnie obóz demokracji musi być czujny na te próby i paraliżować je w zarodku.

Spróbujemy rozwiązać dzisiaj parę nieporozumień ideologicznych, zawiązanych przez reakcję. Nie ma, naturalnie, mowy o całkowitym rozprawieniu się. Ramy artykułu dyktują konieczność ograniczenia się do kilku wybranych zagadnień. Zacznijmy od tego najstraszniejszego słowa, którym „Niedziela" i „Rycerz Niepokalanej" próbują nadal odstraszyć niegrzeczne dzieci od materializmu.

Tak się już jakoś utarło, nawet wśród ludzi, którzy pretendują do miana inteligencji, że na amen uwierzyli gadzinówkom, iż materialista to jest człowiek, który dba tylko o interes własny, o pełny brzuch i kieszeń, człowiek, któremu obce są pobudki ideowe. Mówiłem ze studentami, którzy na serio bronili swej wiary w wysokie ideały przed wyimaginowanym materializmem. Mówiłem ze starszymi ludźmi, którzy mimo formalnego miana inteligentów, nie mogli się zdobyć na nic więcej ponad przeżuwanie starych argumentów „Rycerza".

Z naukowego punktu widzenia starczyło by wskazać, że mamy tu do czynienia ze zwykłym wprowadzeniem w błąd, polegającym na wykorzystaniu wieloznaczności terminów, że filozoficzny materializm i idealizm, nie mają nic wspólnego z życiowym, praktycznym materializmem, że wręcz na odwrót, zwolennicy materializmu filozoficznego są właśnie najczystszej wody idealistami w praktycznym życiu, ludźmi wielkich ideałów, tak często słusznie zresztą podziwianymi przez młodzież.

Oni to bowiem, ci materialiści, którymi straszy „Niedziela", mimo więzień i prześladowań na całym świecie potrafili rzucać rodziny i szczęście osobiste, składać na ołtarzu swej wielkiej idei młodość i niejednokrotnie życie.

Ciśnie się na usta jedno pytanie. A gdzież była nasza nauka? Idzie przecież o błąd tak podstawowy, że jest on oczywisty dla każdego studenta filozofii. Jest to zresztą wypadek, który w podręcznikach często służy jako przykład błędu logicznego **ekwiwokacji**, błędu znanego jeszcze logikom starożytnym. Odpowiedź nietrudna, aczkolwiek smutna.

Dziedzina filozofii, światopoglądu, mimo całej jej abstrakcyjności nie jest ani numizmatyką, ani filatelistyką, gdzie można się łatwo zdobyć na obiektywizm. Tam gdzie cel uświęca środki, nie należy się dziwić z powodu zastosowania tak niewinnej stosunkowo broni, jak naukowy fałsz.

Wiadomo, że materializm posiada swoją własną koncepcję historyczną, t zw. materializm historyczny. Wiadomo również, że dla przeciętnego naszego inteligenta jest to pojęcie równie puste, jak filozofia Konfucjusza, lub hinduskie Upaniszady. Musimy podkreślić że nie należy się w tym doszukiwać osobistej winy naszej inteligencji. Gdy oficjalne wykształcenie jest tak pokierowane, że poza specjalistami nikt nie otrzymuje nawet minimalnych wiadomości z dziedziny nauk społecznych, gdy w podręcznikach filozofii znajdujemy każdego epigona jakiejś szkółki filozoficznej poślednego gatunku, ale nie dowiemy się nic o filozofii marksizmu, nie można się dziwić rezultatom. Nasz przeciętny inteligent, orientując się na podstawie nazwy, dochodzi do wniosku, że materializm historyczny jest to taki kierunek, który jako jedyny czynnik rozwoju historycznego przyjmuje fakty materialne, ekonomiczne, odrzucając czynnik świadomości.

Wśród bridżystów jest przyjęta maksyma: przeciwnika nie należy uważać za idiotę. Okazuje się, że wrogowie materializmu historycznego niżej cenią swych przeciwników ideologicznych aniżeli partnerów bridżowych. Jako głupców bowiem należało by oceniać ludzi, którzy głosząc zasady teoretyczne, jakie przypisują przeciwnicy marksistom, jednocześnie taki nacisk kładliby na czynnik świadomego działania, na rozbudzenie świadomości klasowej proletariatu, jak to właśnie robią marksiści.

Powszechnie identyfikuje się materializm historyczny z materializmem ekonomicznym, przypisuje się marksistom pogląd, że uznają oni tylko czynnik ekonomiczny jako motor historii, że pojmują oni rozwój historyczny jako wynik automatycznego działania czynników ekonomicznych, niezależnego od świadomości społeczeństwa.

Z takim przeciwnikiem walczyć łatwo. Można go rozbić teoretycznie, można rozdzierać szaty nad „przyziemnym materializmem, który pochłania najpiękniejsze pobudki ideowe".

Cały dowcip w tym tylko, że marksizm, że materializm historyczny nie ma nic wspólnego z tym przypisywanym mu poglądem. Jest to po prostu jeszcze jeden fałsz teoretyczny obrońców ciemnoty, który mógł się utrzymać i zachwaścić umysły jedynie dzięki specjalnej atmosferze, jaka w dziedzinie nauk społecznych została nam narzucona przez rządy sanacyjne.

Aby nie być gołosłownym przejdę do faktów. Podstawowa zasada materializmu historycznego została lapidarnie ujęta przez Marksa w zdaniu: „Nie świadomość ludzi określa ich byt, lecz przeciwnie, byt społeczny ludzi określa ich świadomość". Na podstawie badań historycznych Marks i Engels doszli do wniosku, że podstawą przemian społecznych są stosunki produkcji w jakie wchodzą ludzie, że, w ostatniej instancji, bodziec do tych przemian wychodzi z rozwoju narzędzi produkcji. Tym samym dotychczasowa koncepcja historyczna zostaje obalona i zostają nakreślone ściśle granice oddziaływania świadomości ludzkiej.

Były to zmiany prawdziwie rewolucyjne. Ale nie mają one nic wspólnego z tym, co przeciwnicy nasi chcieliby widzieć w materializmie historycznym.

Insynuują oni, że materializm uznaje tylko czynnik materialny, że nie widzi znaczenia świadomości ludzkiej w rozwoju historycznym.

A co na to klasycy marksizmu?

Przytoczę poniżej bez komentarzy kilka ustępów z listów Engelsa do swych współpracowników. Okazuje się z nich, że nawet w swych fałszach nasi reakcjoniści nie potrafią wymyślić nic nowego.

Z listu Engelsa do Józefa Blocha:

„...Według materialistycznego pojmowania dziejów momentem, decydującym w historii w **ostatniej instancji**, jest produkcja i reprodukcja rzeczywistego życia. Ani Marks, ani ja, nie twierdziliśmy nigdy nic ponad to. Jeśli więc ktokolwiek przekręci to w tym sensie, jakoby moment ekonomiczny był jedynie decydującym, to zamieni on owo twierdzenie w nic nie mówiący, abstrakcyjny, niedorzeczny frazes". (K. Marks, Dzieła wybrane, t. 1, str. 384).

Z listu Engelsa do Konrada Schmidta:

„Jeśli więc Barth sądzi, że my zaprzeczamy wszelkiemu odwrotnemu oddziaływaniu politycznych itp. odzwierciedleń ruchu ekonomicznego na sam ów ruch, **to walczy on po prostu z wiatrakami.** (podkr. nasze). Niech się przyjrzy bodaj tylko „18 Brumaire'a" Marksa, gdzie mowa jest prawie wyłącznie o szczególnej roli, jaką odgrywają walki i wydarzenia polityczne, oczywiście w ramach ich ogólnej zależności od warunków ekonomicznych" (ibidem, str. 390).

Z listu Engelsa do Starkenburga:

„Rozwój polityczny, prawny, filozoficzny, religijny, literacki, artystyczny itd. oparty jest na rozwoju ekonomicznym. Ale wszystkie one oddziaływają wzajemnie na siebie i również na podstawę ekonomiczną. Sprawa nie przedstawia się w ten sposób, że jedynie położenie ekonomiczne jest przyczyną, że ono tylko stanowi jedyny **czynnik aktywny**, wszystko zaś inne jest wyłącznie biernym skutkiem. Przeciwnie, zachodzi tu wzajemne oddziaływanie na podstawie konieczności ekonomicznej, która **w ostatniej instancji** toruje sobie zawsze drogę! (tamże, str. 394).

Wydaje mi się, że dość i tych cytatów, aczkolwiek można je łatwo pomnożyć. Okazuje się, że jeśli marksiści apelują do świadomości mas, jeśli przy pomocy swej propagandy dążą do rozbudzenia świadomości klasowej proletariatu, to nie ma w tym żadnej sprzeczności z systemem. Okazuje się, że marksizm ma prawo twierdzić, że teoria, która opanowała masy jest potęgą, ponieważ rozumie doskonale, że historia jest dziełem samego człowieka. Okazuje się, że jeśli Lenin walczył przeciwko teorii Róży Luksemburg o spontaniczności ruchu robotniczego, występując jako orędownik kierowanego planowo, świadomego ruchu, to działał jako konsekwentny marksista. I okazuje się raz jeszcze, że nasza reakcja jest pospolitym fałszerzem, że gra w fałszywe karty.

Poruszyliśmy tu zaledwie fragment niezwykle rozpowszechnionego u nas zjawiska, które delikatnie można by nazwać „nieporozumieniem ideologicznym". Do problemów tych przyjdzie nam nieraz jeszcze powracać.

Na razie chcielibyśmy uzyskać jeden rezultat. A mianowicie, aby nauczono się u nas tej podstawowej zasady, że krytykować można te tylko poglądy, które się zna. A znać jakiś pogląd, to znaczy nie wierzyć bajkom, a zapoznać się z nim u źródła.

Adam Szaff

POLITYKA

Konferencja londyńska

Fakt, że konferencja londyńska zakończyła się bez uchwytnych rezultatów, że — co więcej — uczestnicy tej konferencji prowadzą ze sobą teraz polemikę przy pomocy wywiadów prasowych, wywołał żywe poruszenie, nawet zadowolenie w kołach naszej wojującej reakcji. Wiadoma rzecz — nasi obszarnicy chcą za wszelką cenę wrócić do swych folwarków — nawet za cenę nowej wojny, która z tych folwarków może zostawić tylko ziemię ze zwęglonymi kikutami kominów... Toteż w kołach „rozparcelowanych" i „odprywatyzowanych" na wiadomość o przebiegu konferencji aż zakuczało:

„Widzicie, już się zaczyna".

Zaczęło się w istocie. Ale zaczęło się coś zupełnie innego, niż chcieliby, coś zupełnie innego, niż to czego oczekują wszelacy amatorzy „trzeciej wojny". Zaczęły się normalne, nieuniknione tarcia o ustalenie szczegółów powojennej organizacji świata. Tarcia, na końcu których stanie zupełnie niewątpliwie uzgodnienie poglądów i interesów.

Kiedyś, jeszcze w czasie wojny, generalissimus Stalin powiedział, mówiąc o tarciach i różnicach zdań między czołowymi mocarstwami koalicji antyhitlerowskiej: — Dziwić się należy nie temu, że są tarcia między mocarstwami, a że jest ich tak mało i że tak łatwo stosunkowo dają się one uregulować. — Te słowa Stalina bardziej niż kiedykolwiek dają się zastosować i do obecnej sytuacji.

Bo trzeba sobie zdać z tego sprawę: układa się na lat kilkadziesiąt, na cały okres życia naszego pokolenia mapa polityczna nie tylko Europy, ale całego świata. Układa się — na podstawie porozumienia przede wszystkim trzech wielkich światowych mocarstw, mocarstw o różnym ustroju społecznym (jedno: socjalistyczne, dwa: kapitalistyczne, przy czym każde z tych dwóch z inną strukturą monopolistycznego kapitalizmu), mocarstw, których sfery zainteresowań i punkty konfliktów obejmują całą kulę ziemską. I w rezultacie: już przy pierwszych, choć niesfinalizowanych rozmowach, ujawnia się możność uregulowania szeregu spraw, zarysowują podstawy kompromisu na szeregu odcinków. Już przy pierwszych, choć niesfinalizowanych, rozmowach widać, że nawet te grupy, które radeby doprowadzić do czegoś w rodzaju stałego napięcia międzynarodowego, znajdują się pod bardzo mocnym naciskiem opinii publicznej swych krajów, rozumiejącej doskonale, że tylko we współpracy trzech mocarstw można znaleźć gwarancję zabezpieczenia trwałego, rzeczywistego pokoju. Rzecz charakterystyczna: najtwardszy ze wszystkich p. Bevin, woli milczeć na temat przebiegu konferencji. Trudno mu widać zdać sprawę przed opinią swych wyborców, którzy głosowali na Labour Party, między innymi, w zaufaniu, że ta partia lepiej od „twardogłowych" konserwatystów zapewni Anglii współpracę ze Związkiem Radzieckim...

Niewątpliwie na konferencji trzech — i nie tylko na konferencji — ujawnia się szereg rozbieżności pomiędzy mocarstwami.

Zarysowuje się, jeśli idzie o Bałkany, różnica zdań w sprawie rozumienia słowa demokracja. Mocarstwa zachodnie skłonne są do ulegania pseudo - demokratycznym zaklęciom różnych klik pół- i ćwierć- faszystowskich w Rumunii, Bułgarii, Jugosławii i na Węgrzech, lamentujących na cały świat przeciw rządom ludowej demokracji, dokonującym w tych krajach radykalnych reform społecznych. Tu niechęć do radykalnej, ludowej demokracji niewątpliwie odgrywała rolę poważną przy trudnościach, na jakie napotykała Jugosławia w sprawie Istrii i Triestu. Ale ostatecznie — nie widzieliśmy, aby skargi rozmaitych Maniu i innych Grollów odniosły jakiś realny efekt. Sprawy graniczne rumuńskie (Siedmiogród) i austriackie (Tyrol Południowy) omawiane były na ogół w tonie przychylnym dla słusznego stanowiska obu tych państw. Sprawa Triestu zakończyła się kompromisem, o wiele bliższym tezy jugosłowiańskiej niż włoskiej. Nie można powiedzieć, by ostatecznie takie czy inne sympatie miały poważniejszy wpływ na definitywną decyzję w tych sprawach. Gorzej powiodło się pod tym względem Grecji. Jeśli Jugosławia miała swą delegację na konferencji i była wysłuchiwana kilkakrotnie i uważnie, to faszystowski regent Grecji Damaskinos na próżno wędrował po stolicach Zachodu, w oczekiwaniu zaproszenia na konferencję. Dalej niż do rozmowy z Bevinem nie doszedł...

Zarysowuje się zresztą niemniej wyraźnie i przeciwieństwo drugie: angielsko - amerykańskie. Polityka Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych ścierają się z sobą w niejednym punkcie. Sytuacja na Jawie, gdzie gen. Mac Arthur nie może jakoś dać sobie rady z ruchem tubylczym skierowanym przeciwko ściśle sprzymierzonej z Anglią Holandii, jest pod tym względem charakterystyczna. Zwłaszcza że równocześnie Chińczycy (znajdujący się częściowo pod amerykańskim dowództwem) odmawiają Francuzom (bardzo tu, na Dalekim Wschodzie, zaprzyjaźnionym z Anglikami) wstępu do północnej części Indochin Francuskich. Na tym tle konfliktów daleko - wschodnich specjalnego znaczenia nabiera kampania za „blokiem zachodnim" we Francji, kampania prowadzona pod znakiem wspólnego przeciwstawienia się Ameryce i Sowietom...

Czy znaczy to, że należy się spodziewać jakiegoś konfliktu zbrojnego między Anglią i Ameryką. Oczywista, że nie. Znaczy to tylko, że Anglia z jednej a Ameryka z drugiej strony chcą sobie zapewnić jak najkorzystniejszą pozycję na konferencji pokojowej, chcą na tej konferencji zyskać jak najwięcej dla siebie. To samo, mutatis mutandis, mamy i w europejskich konfliktach. Z tą może różnicą, że, bardziej niż na Dalekim Wschodzie, chodzi tu o obiekty wymienne, o oburzenie na pokaz, obliczone na to, by je można później jak najdrożej sprzedać za jakąś Massauę czy inną Libię. Różni Grollowie, Maniu et tutti quanti nie zawsze nawet zdają sobie sprawę, że są oni tylko tego rodzaju monetą wymienną dla dyplomatów z londyńskiej Downing Street.

Ale to już ostatecznie ich rzecz. Na szczęście zresztą ich wartość wymienna jest niewielka. Nikt za nimi w ich krajach nie idzie. Prócz, oczywista, „rozparcelowanych" i „zdeprywatyzowanych", których i tam nie brak...

erkawu

TRADYCJONALIZM

Mówi się wiele o tradycjonalizmie polskim, jest to słuszne w pewnym tylko ograniczonym zakresie, odnosi się raczej do przejmowania form zewnętrznych, do biernego ulegania tradycji, nie do rzeczywistej kontynuacji tego, co w historii naszej miało zaród przyszłości.

„Pan Tadeusz", uważany za najpiękniejszy pomnik wystawiony tradycji szlacheckiej, był jednak również dziełem pełnym przyszłości. I słuszniej, idąc za określeniem Worcella, powinniśmy widzieć w nim nie tylko kamień nagrobny Polski szlacheckiej, ale również zapowiedź demokracji. Nawiązywanie do tego, co w tradycji kulturalnej pozostało żywe i zapładniające, jest w życiu narodów koniecznością. Tradycjonalizm, tkwiący w zabobonach przeszłości, oparty na nawykach, na lenistwie myślenia, na przywiązaniu do rzeczy znanych i obawie przed rzeczami nowymi, jest zgubny.

Polska — krajem, w którym oddaje się cześć bohaterom przeszłości. Ale gdzież są godne ich życia i czynów monografie historyczne?

Polska — krajem, w którym literatura przez półtora wieku w braku państwa pełniła rolę administracji duchowej, była „rządem dusz", a gdzież są monografie literackie, godne Mickiewicza, Słowackiego, Prusa i Orzeszkowej, głęboko przemyślane i powiązane z historią, która tych pisarzy wydała i żywiła?

Brak pomników w Polsce. Jeśli prawdą jest, że „rzeźbić można tylko procent od historii", to nieprędko pojawią się u nas wielcy rzeźbiarze. We Francji, w kraju rewolucyj, w kraju klasycznego wiersza i żywiołowego nowatorstwa, we Francji, która w dziedzinie sztuk plastycznych jest tym w nowożytnym świecie, czym była Grecja w starożytności, istnieje silny związek między przeszłością a współczesnością, istnieje ciągłość kulturalna.

U nas kult przeszłości był aż nazbyt często powierzchowny i zadziwiająco jednostronny. Młodzież szkolna uczyła się o Towiańskim, o Chłopickim i Rydzu Śmigłym, ale nie wiedziała nic o „Trybunie ludów", o Jarosławie Dąbrowskim i o Waryńskim.

Młodzież dzisiejsza, po latach okupacji, wie w ogóle mało, jest nie uzbrojona w najprymitywniejszą choćby wiedzę o otaczającym ją świecie, bezbronna wobec ciemnoty domowej — i szkolnej. Młodzież liceaka nie czyta klasyków naszej literatury, nie rozumie ich, po prostu nie umie czytać. Porozmawiajcie z młodzieńcem piszącym wiersze, a przekonacie się, że czytał Czechowicza i Gałczyńskiego, a nie zna największych arcydzieł literatury klasycznej.

Nasz młodszy „awangardyzm" już przed wojną sąsiadował niejednokrotnie z nieuctwem i snobizmem, nie umiał wyciągnąć wniosków z rodzimej tradycji literackiej, czerpał natomiast bez wyboru i często po prostacku z nowatorstwa francuskiego, nie zdając sobie nawet sprawy z faktu, który był gwarantem powodzenia nowatorów francuskich: z ciągłości kulturalnej.

Ale zapożyczone, nie przyswojone formy zbyt często podobne są do krzaków jemioły, chociaż udają drzewa. Dlatego rykoszetem powraca u naszych nowatorów najniespodziewaniej barok jezuicki, barok — najbardziej rozpowszechniony kształt kultury w narodzie o tradycji wyłącznie szlacheckiej.

Stworzenie kursów specjalnych dla adeptów literatury jest dzisiaj potrzebniejsze niż kiedykolwiek, brak bowiem wiedzy o literaturze odbija się fatalnie na młodych talentach, od których przecież zależny jest poziom jutrzejszego naszego piśmiennictwa.

Kultywowanie tego, co w przeszłości było najbardziej wartościowe, służy dzisiaj — po wojnie, która wstrząsnęła podstawami kultury i cywilizacji — w stopniu wyższym niż kiedykolwiek przyszłości i postępowi.

Mieczysław Jastrun

Przegląd prasy

Dyskusje, jakie toczyły się na Zjeździe Uczestników Walki Zbrojnej z Niemcami zostały obszernie oświetlone w interesującym artykule Włodzimierza Lechowicza „Okrakiem na barykadzie" („Odrodzenie" nr. 43). Artykuł został napisany przez b. żołnierza AK, uczestnika powstania warszawskiego. Tym ciekawsze więc są jego opinie, a zwłaszcza te zdania artykułu, w których autor polemizuje z treścią przemówień obecnych na Zjeździe przedstawicieli AK. W tym samym numerze pisma znajdujemy artykuł Jana Tańskiego: „O marksistowskie podstawy w ocenach estetycznych". Mimo niewątpliwej erudycji autora, artykuł nie przynosi samodzielnych i nowych sformułowań. O sprawie przekładów pisze Artur Sandauer w artykule „Kłopoty tłumacza". Autor broni stanowiska, że najsłuszniejszą jest metoda kompensacyjna t. zn. takie przetworzenie oryginału, by tłumaczenie wywołało podobne doń wrażenie artystyczne. Sandauer występuje przeciwko metodzie filologicznej przekładu. Kazimierz Wyka w artykule „Potęga ciemnoty potwierdzona" omawia szeroko zagadnienie antysemityzmu. Wyka dzieli antysemityzm w Polsce na antysemityzm tłumu i „antysemityzm warstw inteligenckich". Artykuł Wyki, niemniej ostry w treści niż artykuł Jastruna, który swego czasu wywołał szereg replik, potwierdza, mimo łagodniejszej formy, tezy Jastruna o „Potędze ciemnoty".

Długo zachowywane na łamach „Odrodzenia" milczenie na temat Zjazdu Literatów w Krakowie zostało wreszcie przerwane obszernym artykułem sprawozdawczym Zbigniewa Bieńkowskiego: „Pierwszy ogólnopolski zjazd literatów" w nr. 44 „Odrodzenia". Bieńkowski prócz sprawozdania, dotyczącego ideologicznej strony Zjazdu, sam konstatuje pewne fakty w zakresie zagadnień kultury i wyprowadza z nich słuszne niewątpliwie wnioski, a więc: porzucenie pozycji idealistycznych, humanizm oparty o podstawy społeczne. „Światopoglądy na irracjonalizmie wiary czy chociażby nadziei zbudowane okazały się na działania wojenne nieodporne... Z artykułu Bieńkowskiego wynika, że wśród literatów istnieją rozbieżności ideologiczne, że wśród wielu pokutują nastroje kulturalnego pesymizmu. M. in. Bieńkowski nie zgadza się na ocenę literatury polskiej ubiegłego dwudziestolecia, jaką wydał Walny Zjazd. Pozytywną jej ocenę, wynikającą zresztą z głosowania, uważa Bieńkowski za akt kurtuazji w stosunku do przeszłości literackiej. Artykuł Ksawerego Praszyńskiego, omawiający dzieje naszej zachodniej emigracji politycznej. „Rzecz działa się we Francji...", jest pierwszym bezpośrednio dla kraju napisanym artykułem tego świetnego publicysty. Artykuł m.in. daje wnikliwy portret gen. Sikorskiego i odsłania smutne kulisy emigracji w okresie gdy jej polityczne centrum znajdowało się jeszcze w Angers.

„Życie literackie" w nr. 7-8 przynosi wśród wielu wierszy obszerny poemat Romana Kolonieckiego „Róża". W dziale artykułów wyróżnia się i pięknością stylu i trafnością ujęcia, recenzja - eseny Jarosława Iwaszkiewicza o wierszach Jastruna. Nie sposób odmówić słuszności wielu uwagom Wojciecha Baka na temat tomu Przybosia. Edward Jastrzab w artykule „W sprawie realizmu" dyskutuje z Kazimierzem Brandysem z „Odrodzenia". Artykuł jest próbą obrony idealistycznych pozycji w literaturze i występuje przeciwko metodzie opartego o socjologię realizmu. Artykuł grawituje ostro w kierunku metafizyki, aż wreszcie w końcowych partiach znajdujemy takie zdanie: „Jest prawie wykluczone aby... długoletnie zespolenie wizji z religijną i patriotyczną wiarą mogło nie wytworzyć kierunku w powojennej sztuce. Śmierć mimo wszystko nie jest sprawą wyłącznie realną, doświadczenie uczy, że zawsze umiera kto inny".

Wśród nowych pozycji bibliograficznych należy odnotować „Pobudkę", tygodnik PPS, przeznaczony dla szerokich rzesz czytelniczych. Pismo redagowane żywo i interesująco. Współpracują m. in.: Mitzner, Wachowicz, Timofiejew, Nowicki.

ph

Towarzystwo literackie im. M. Mickiewicza

Zarząd Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza ukonstytuował się dnia 30 września br. następująco: przewodniczący — prof. UŁ dr St. Skwarczyńska, wiceprzewodniczący — prof. UŁ dr J. Saloni, sekretarz i kier. wydziału prasowego prof. pedag. J. Z. Jakubowski i dr W. Lipiec, skarbnik — prof. dr A. Kowalska; członkowie zarządu — prof. UŁ S. Adamczewski, prof. UŁ A. Boleski, dyr. T. Czapczyński, prof. W. Kwaskowska, wizyt. A. Mirkowicz-Nerkowicz, prof. J. Oke, prof. Pecherski, prof. E. Sawrymowicz.

W skład Komisji Rewizyjnej weszli: prof. UŁ A. Czartkowski, nasz. Z. Maciejowski, prof. J. Trzynadlowski.

Towarzystwo pragnie skupić wszystkich pracowników z dziedziny historii i teorii literatury, jak również miłośników literatury. Poza pracą naukową i wydawniczą Towarzystwo nawiązuje kontakt z organizacjami kulturalno-społecznymi.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wiktor Wor. Wiersze bardzo nierówne. Obok strof wytrzymanych — słabsze, mało zwarte. Obrazy często wytarte, nieprzekonywujące. We wierszu „Moja liryka" razi brak zwięzłości: „Trudno rozbić nienawiść na cząstki i na atomy". Mimo to wiersze zapowiadają poetę. Warto pracować usilnie, nie poprzestawać na łatwych wynikach, dążyć do zwięzłości i możliwie największego konkretyzowania myśli i uczuć poetyckich, z natury rzeczy nieuchwytnych. Zadaniem poezji jest właśnie tym sprawom nieuchwytnym i niewidzialnym nadawać kształt realny.

Jan Corec - Ros. Nadesłał Pan cały obszerny tom wierszy. Przyjrzyjmy się im bliżej. We wierszu „Chciałbym"... pisze Pan:

Chciałbym być błyskawicą,
by onieśmielać wroga!
Aby niebieskim biczem
dosięgnąć nawet Boga!
Chciałbym być gromu grzmotem,
Zemsty piorunem wiernym,
niewoli rozbić wrota —
Polskę unieśmiertelnić!

Rzeczywiście pragnienia Pańskie są ambitne. Ale forma Pańskich utworów nie jest na tyle przekonywująca, abyśmy mogli uwierzyć Panu.

Albo, proszę nam wytłumaczyć tajemnicze znaczenie strofy z wiersza „Elegia":

Ach, poco pragnę **alicejskich** pieśni!
i poco trawię siebie słów rozkoszą?
Chybaż gra liry nam szaleńcom grzesznym
jest dozwolona przez „boskich" panoszy?
Chyba ty nie wiesz, że Polski imienie
dla nich jest śmiercią, a grozą poeta?
— — — — — — — — — — — — —
„Wody mi dajcie! wody zapomnienia,
nie, nie święconej, innej dajcie, z Letu!

Istotnie butelka wody letejskiej bardzo by się przydała. Trzeba, aby Pan zapomniał o wszystkim, co Pan dotychczas napisał i zaczął na nowo. Dużo czytać, zwłaszcza polskich klasyków.

Wacław Bł. Wiersz „Zjednoczenie" — publicystyka rymowana.

Kazimiera Kos. „List do dawnego życia" gładki, zręcznie napisany, „skamandrowy" w całym tego słowa znaczeniu. Nie dla „Kuźnicy".

Jan Paw. Wiersze bardzo słabe pod względem formalnym.

A. Roz. „Mogiła w lesie". Nic z poezją nie mają wspólnego strofy w rodzaju tej:

Cześć Ci i chwała, Szary Bohaterze!
Żeś śpieszył oręż swój Ojczyźnie nieść,
Żeś życie swe młode złożył Jej w ofierze,
Żeś walczył za wolność — chwała Ci i cześć!

Kryst. Alt. Wiersze nie do druku.

A. J. Haus. Wiersze poprawne, niektóre nawet ładne („Rezygnacja"), ale nie ma w nich nic nowego, w jakimś sensie współczesnego. Nie dla nas.

M. Laj. Te utwory są zapewne bardzo autentyczne, istotnie pisane w obozie. Treść ich byłaby wzruszająca, gdyby autorka umiała swoje doświadczenia naprawdę wyrazić, tymczasem nie ma tu nic prócz wytartych zwrotów, nie ożywionych nowym kontekstem.

Kl. Oleksik. Jest coś wzruszającego w Pańskich wierszach lirycznych, mimo że są raczej słabe, nie wytrzymane do końca. Miły wiersz — „Nasturcje". Najlepsza, w swej prostocie — „Rocznica". Przytaczamy ostatnią zwrotkę:

Pod tym murem czerwonym,
Pośnie trawa zielona.
Na tej wiecznej rocznicy
Róża kwitnie czerwona.

NOTY

SEMANTYKA I POLITYKA.

Bez zająknienia, jednym tchem wymieniają po sobie faszyzm i totalizm, łączą, plączą, podstawiają, zamieniają. Kto? Młodzi dziennikarze z prowincjonalnych pism przez niechęć do myślenia i nawyk łatwizny. Starzy i wytrawni publicyści z „Tygodnika Powszechnego" świadomie i cynicznie. To nie jest błąd z dziedziny semantyki i filologii. To zwykła finta polityczna. Chodzi najzwyczajniej o to, aby słowu faszyzm odjąć wszelką treść społeczną, gospodarczą, klasową, aby na miejscu pojęcia określonego podstawić słowo – mit, słowo – widmo, słowo – apokalipse słowo, którym półinteligenci straszą sklepikarzy, słowo, które nic nie znaczy. Chodzi po prostu o to, aby z powszechnej nienawiści do faszyzmu ukuć broń przeciw wszelkiemu planowaniu, bez względu na to, kto i w czyim interesie planuje, przeciwko wszelkiej interwencji państwa, bez względu na to, kto nim rządzi.

Panom z „Tygodnika" zależy, aby w mętnym pojęciu totalizmu rozpuścić przykrą pigułkę faszyzmu – dyktatury kapitału finansowego, faszyzmu – rozbicia związków zawodowych, faszyzmu – oddziałów ochronnych i bojówek w służbie trustów i koncernów, faszyzmu – okrojenia dochodu społecznego kosztem pracujących, faszyzmu – niewolnictwa i militaryzacji przemysłu, obliczonego na zysk z łupów wojennych.

Cieszą się, kiedy widzę chłopców i dziewczęta z TUR-u, jak w granatowych koszulach z czerwonymi krawatami idą ulicami miasta. Cieszę się, kiedy państwo opracowuje plan produkcji i kiedy ten plan zostaje przekroczony. A publicystom z „Tygodnika Powszechnego" przypomnę piękne zdanie z odczytu prof. Kotarbińskiego o wolności, że nie jest to samo, gdy kolumna więźniów maszeruje krok w krok i gdy robotnicy w fabryce pracują ręka w rękę. jk

ZAGAJENIE DYSKUSJI

W istocie pragnąłbym zagaić dyskusję. Bo sam nie jestem dostatecznie zorientowany. Sprawa jest ważna i pilna — a budzi wątpliwość. Chciałbym — aby w „Kuźnicy" wypowiedzieli się zwolennicy i przeciwnicy. Czego? Przesunięcia akcji douczania młodocianych i spóźnionych na tor drugi pozaszkolny. Likwidacja bowiem skutków wojny w dziedzinie oświaty — to praca pilna i olbrzymia. Spadek po latach okupacji jest straszliwy. Tysiące młodzieży niedouczonej, zapóźnionej, wprost bez elementarnego wykształcenia. I często ludzi tych pochłania już praca produkcyjna, w szkole się nie mieszczą. Są pedagodzy — stykałem się z licznymi wypowiedziami — którzy wyciągają z tego wniosek, iż w ogóle nacisk należy obecnie i na przyszłość położyć na wszelkie formy pracy oświatowej, pozaszkolnej, zorganizowanej, ale wyraźnie pozaszkolnej (świetlice, biblioteki itp.), dającej się pogodzić z pracą uczącego się. I to uważają za stanowisko demokratyczne, postępowe, w naszej sytuacji w interesie mas i narodu. Inni sądzą przeciwnie. Dla nich jest to stanowisko wsteczne. Należy bowiem walczyć o to, by właśnie dać młodzieży i to jak największej ilości, normalną, solidną, szkolną naukę. Nie pozwolić, by produkcja pochłaniała niedouczonych. Cały wysiłek włożony w oświatę pozaszkolną — to pójście po linii najmniejszego oporu. Należy przeciwnie zwielokrotnić wysiłki zmierzające do całkowitego upowszechnienia oświaty w jej szkolnych formach. Wywalczając dla pracujących najdalej idące ulgi — takie, by umożliwiły im uczestniczenie w zorganizowanej pracy szkolnej. I to ci drudzy uważają za demokratyczne stanowisko. Ja godzę się z tymi ostatnimi. A Ty co sądzisz, czytelniku?

Dyskusja ta winna obejść nie tylko pedagogów — dotyczy bowiem kapitalnego problemu społecznego o wielorakich skutkach i dla kultury i dla produkcji. żłk

CZY TYLKO KWESTIA PROCEDURY?

Obrady ministrów spraw zagranicznych w Londynie zostały zawieszone. Z oświadczenia Mołotowa wynika, że jednym z głównych przedmiotów sporu była sprawa udziału Francji i Chin w przygotowaniu traktatów pokojowych z Rumunią, Bułgarią, Węgrami, Finlandią. Pozornie chodzi o zagadnienie trzeciorzędnej wagi, o zagadnienie proceduralne.

Tak jednak nie jest. W negocjacjach dyplomatycznych spór o zagadnienia proceduralne jest zawsze próbą sił i kryje za sobą poważniejsze sprawy.

Talleyrand swoją działalność dyplomatyczną na Kongresie Wiedeńskim rozpoczął od walki o drobną, pozornie, kwestię proceduralną, zaczął od walki o miejsce przy stole obrad. Wiadome, że obrady te zakończył jako zwycięzca. W negocjacjach dyplomatycznych nie ma spraw drobnych. Konwencje o rybołóstwo przybrzeżne zawierane między Japonią a Związkiem Radzieckim było barometrem wskazującym napięcie albo odprężenie polityczne między tymi państwami.

Związek Radziecki stawiając zasadniczo sprawę udziału Francji i Chin w ułożeniu traktatów pokojowych z byłymi wasalami Niemiec, walczy o nienaruszalność uchwał konferencji bryłyjskiej, która położyła podwaliny powojennego układu stosunków międzynarodowych. Jeżeli kwestionuje się dziś mniej ważne postanowienia, jutro mogą być podważone fundamenty gmachu pokoju. Stanowisko zajęte przez Związek Radziecki na konferencji ministrów spraw zagranicznych należy pojmować jako wysiłek podjęty dla stabilizacji stosunków międzynarodowych.

st–er

BIBLIOTEKA METEMPSYCHICZNA ALBO DLACZEGO NIE MA PAPIERU

Paweł: Dlaczego nie wychodzą nowe książki?

Piotr: Wychodzą. Wychodzi znacznie więcej, niż myślimy.

Paweł: Wolne żarty. Gdzież one są?

Piotr: Zaraz ci wyliczę. Oto dwanaście tomów **Biblioteki Metempsychicznej:** Ks. dr Aleksander Żychliński: „Życie pozagrobowe" czyli „Co wiemy o rzeczach ostatecznych" (Wydawnictwo „Głosu Karmelu" str. 192),

Ojciec św. Pius XII: „Encyklika o mistycznym ciele Chrystusa" (to samo wydawnictwo),

O. Gabriel od św. Magdaleny: „Św. Teresa od Jezusa" (str. 212, tamże),

O. Gabriel od św. Magdaleny: „Św. Jan od Krzyża" (str. 172, tamże),

Ks. dr Franciszek Sawicki: „Filozofia miłości" (Księgarnia Krakowska),

O. Jacek Woroniecki O. P.: „Hagiografia",

Rzutkowski W. J.: „Kultura duszy – dusza kultury" (tamże),

Ks. Henryk Werzyński: „Do serca Matki Bożej" (Nakładem Zgromadzenia SS Felicjanek, str. 96),

Ks. Marian Marek: „Dopuśćcie dziateczki przyjść do mnie" (Nakładem J. Cebulskiego, str. 96),

O. Łukasz od św. Józefa, karmelita bosy: „Świętość duchowna według Przestróg Duchownych Św. Jana od Krzyża (Gebethner i Wolff, Kraków 1942, str. 423),

Św. Jan od Krzyża: „Pieśni mistyczne". Przełożył O. Bernard od Matki Bożej, karmelita bosy (Wyd. „Głosu Karmelu", Kraków, 1942),

Głos Pana krzeszacego cedry libańskie czyli rekolekcje dla osób zakonnych. (Wyd. „Głosu Karmelu", Kraków, 1940, str. 576).

Paweł: Trzy ostatnie książki wyszły za czasów okupacji...

Piotr: Czy konspiracyjnie?

jk

WALKA KLAS

Treścią dotychczasowej historii są antagonizmy klasowe. To zdanie „Manifestu Komunistycznego" pamiętamy. Formy przecież walki klasowej są różnorodne i zmienne. Dziś śmiało możemy powiedzieć, że obserwujemy nową postać tej walki: chciało by się rzec elementów społecznych z aspołecznymi. Po jednej stronie uczestnicy konstruktywnej pracy, budujący wolną przyszłość za cenę obecnych wyrzeczeń i przejściowego zaciskania pasa — po drugiej stronie szabrownicy i łapówkarze, spekulanci i wszelkie elementy marginesowe, bandyckie. Lecz bliższa analiza pokazuje, że nie są to przypadkowo podzielone grupy, li tylko ze względu na ich stosunek do rygorystycznych kryteriów moralności społecznej. Grupa pierwsza, to w swojej masie klasy pracujące, związane z uspołecznionymi warsztatami. A i druga grupa jest klasowo jednolita: to resztki złamanego obszarnictwa i wielkiego kapitału oraz elementy lokajskie pozostające — do wielkiej przemiany obecnej — na usługach tych pierwszych. Różni oficjaliści, zawodowi podoficerowie, policjanci itp. To znany nam z „Moralności Pani Dulskiej" i „Lekkomyślnej siostry" potworny mieszczuch zmienił oblicze: w tej samej małej pogoni za osobistą korzyścią, w tym samym bezwzględnym kulcie tylko dla materialnego zysku — przeobraził się w szabrownika i spekulanta. Z wyzyskiwacza — stał się po prostu — aspołeczny. Pouczająca jest dialektyka historii: zmiany perspektyw moralnych i psychologicznych przy znacznie trwalszym szkielecie socjologicznym. żłk.

PENSJE I ORDERY

Wiek XVIII — to moment zwrotny w historii gospodarki światowej. Okres nagromadzenia pierwotnego przyszłego kapitału przemysłowego. Droga rabunku i grabieży kolonii. Czas wypraw, podróży, korsarstwa, poznania świata. Horyzont geograficzny rozszerza się niepomiernie. Wraz z tym porównawcza znajomość obyczajów ludzkich. I to bodaj jest główny czynnik przewrotu umysłowego wieku XVIII. Tak doniosłego przewrotu dla całej przyszłości kultury ludzkiej. Dzisiejsza wędrówka ludów, spowodowana wojną, stykanie się bezpośrednie z nieznanymi dotąd z bliska narodami — otwiera nieco podobne możliwości. Otóż w XVIII wieku — to porównawcze studium obyczajów utrwalono przeważnie w charakterystycznej anegdocie. Tak pisał Voltaire, Diderot, Chamfort. Jako, że nadrej głowie dość dwie słowie. Nie mamy Diterot'ow, ale charakterystyczne anegdoty przynosi życie: Polak wracający z niewoli rozmawia przyjaźnie z amerykańskim żołnierzem. Ten ma pierś obwieszoną medalami. Polak pyta słabą angielszczyzną — co to jest, wskazując na ordery. Amerykanin po kolei dotykając swoich odznaczeń uprzejmie i możliwie najprościej wyjaśnia. Za to dostaje 3 dolary dodatku, za to 15, za to 10 dolarów... A to — pyta dalej Polak, wskazując odznakę podoficerską na ramieniu pytanego. To? Za to — odpowiada Amerykanin — nic nie dostaję, ale to sierżant każe nosić. żłk

WYRÓŻNIENIE CZY ZAPOMOGA

Niedawno zaczęły ukazywać się w prasie listy „zasłużonych" osób na polu nauki i sztuki oraz działaczy społecznych, którzy otrzymywać będą miesięczne pensje ze Skarbu Państwa. Wnet po tym zjawiło się sprostowanie, że nie ma to być dowód wyróżnienia, ale stała zapomoga. Wytworzyła się dokoła tej całej sprawy atmosfera niemiłych komentarzy, bo pomieszano dwie zasady — wyróżnienia i zapomogi.

Która z tych zasad jest właściwa? Żadna. Bo żadna z nich w stosunku do ludzi nauki i sztuki nie odpowiada intencjom deklaracji KRN o popieraniu nauki i sztuki, nie odpowiada zapowiedziom premiera i nie pokrywa się z właściwym celem.

Opieka Państwa nad twórczą pracą naukową i artystyczną wynika z uznania doniosłości tej pracy, jak również z tego prostego faktu, że w dzisiejszym układzie stosunków gospodarczych praca ta na ogół nie daje dostatecznego zabezpieczenia materialnego; odbija się to na losie ludzi nauki i sztuki, w konsekwencji hamuje i obniża twórczość. Ludzie ci muszą szukać ubocznych albo pokrewnych zajęć. Jeżeli nawet te zajęcia dają im pokaźne dochody, odciąga ich to jednak od właściwego kierunku ich twórczości. Powieściopisarze uprawiają dziennikarstwo, lirycy siedzą na posadach w „Czytelniku", malarze stale muszą uganiać się za doraźnym zarobkiem. Z czego żyją poważni kompozytorzy, nie wiem, ale wiem, że pracownicy naukowi muszą udawać pedagogów.

Finansowe poparcie Państwa powinno dać ludziom sztuki i nauki możność porzucenia tych zajęć. Nie można traktować przyznawanych pensji ani jako wyróżnienia, ani jako zapomogi, ale jako sprawiedliwą i racjonalną realizację opieki nad ich zawodami. Zająć się tym powinno ciało złożone z przedstawicieli organizacji związkowych i odpowiednich departamentów ministerialnych. Zredukowałoby to rolę przypadku, koneksji, stosunków osobistych, faworów i animozji, o które każda grupa zainteresowana gotowa jest zawsze posądzać ciała działające z tytułu mianowania a nie z wyboru. zwk

O SZACUNEK DLA PRAWA I URZĘDU

Straszliwy spadek okupacji — schorzenie moralności społecznej — nie jest nigdy zbyt często przedmiotem uwagi publicznej. Trzeba czujności w tej sprawie. Ten straszliwy spadek trzeba mieć przed oczyma, gdy czyta się o zbrodniach niedobitków faszyzmu polskiego, gdy myśli się wreszcie o tym wszystkim co publicystyka nasza nazwała „potęgą ciemnoty".

Trzeba jednak z niemniejszym niepokojem śledzić inne — niewątpliwie mniej gorsze — a przecież dotkliwie przez społeczeństwo odczuwane fakty. Zbyt często stykamy się z aktami brutalności, samowoli niejednokrotnie wprost przemocy ze strony osobników, wykorzystujących mundur: symbol władzy. Nie można tu mówić o nadużyciu władzy. Po prostu jak w dobie sanacyjnej osobnik umundurowany czuje się panem wobec cywila, czuje się ponad prawem. Mamy tu do czynienia nie z nadużyciem władzy, a właśnie z pośrednim lekceważeniem, poniżeniem, dyskredytowaniem godności urzędu i władzy państwowej. Panoszenie się munduru w pociągach, instytucjach, wzmacnianie fizycznej siły swej pięści powagą państwowego symbolu, zdobywanie w ten sposób korzyści dla siebie per fas et nefas winno być przez społeczeństwo piętnowane, a przez czynniki kompetentne ścigane i karane ze szczególną surowością. Idzie bowiem o leczenie organizmu zbiorowego ze skutków zdziczenia wojennego, z hitlerowskiej choroby brutalności i kultu pięści. Abyśmy się nauczyli szanować prawo — nawet wbrew doraźnej osobistej korzyści. Bo szacunek dla prawa przynosi każdej zbiorowości i jej członkom w ostatecznym rachunku największe korzyści. żłk.

PSL

„Po przyjaciołach ich poznacie je"

rys. Władysław Daszewski

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Kuźnicy"

W tygodniku „Kuźnica" z daty 7 października 1945 r. wyczytaliśmy artykuł p. t. „Papierowa gospodarka".

Między innymi napisano tam: „Toteż dzieją się cuda... Bo proszę: Dlaczego wielka firma papiernicza Aleksandrowicz znajdująca się w prywatnym ręku przejęła zapasy papieru poniemieckie z prawa należące do Państwa?"

Pośpieszamy z wyjaśnieniem, że firma papiernicza R. Aleksandrowicz - Synowie w Krakowie pozostaje pod Zarządem Państwowym. Żadnych poniemieckich zapasów papieru firma nie przejęła.

Zarząd Państwowy
Fabryczny skład papieru
R. Aleksandrowicz - Synowie
Kraków

Przypisek redakcji:

A jednak papier rozkradają. Bo przecież w każdej chwili można go kupić „po cichu" w dowolnych ilościach i to za dosyć nawet umiarkowaną cenę.

Gdyby go nie ukradli, skądby był wszędzie na sprzedaż.

Redaguje zespół: Zofia Nałkowska, A. B. Dobrowolski, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Jan Kott, Czesław Nowiński, Adolf Rudnicki, Stefan Żółkiewski.
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42. — Redaktor naczelny przyjmuje codziennie od godziny 11 do 13. Prenumerata miesięczna zł 21,—, kwartalna zł 63,—.
D—04941

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.